

Оссолінські колекції.

CD – диск виконано в рамках угоди укладеної з квітня 2004 р. між Львівською науковою бібліотекою НАН України у Львові і Національним Закладом ім. Оссолінських у Вроцлаві.

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.
Zespół (fond) 73.
Archiwum Ostapa Ortwina

111. Archiwum Ostapa Ortwina. Materiały redakcyjne „Kurierza lwowskiego” lata 30. XX w (92).

STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

Львівська бібліотека АН УРСР
ВІДП. КОПІЄВ
№ Арт. 111/п. 8.

Матеріали з реакційної
теми "Журіера Львівського"

(автографи хурочних творів, дру-
карські в'ївбитки, порічкові но-
татки).

30-і р.р. тт.ст.

Львів.

93
92 арк.
м. пол.

Автографи і машинописи

Mój sąsiad sam

Twardemi palcami ściskając szyję,
czerwienieje, zatacza się, wkółko lata
i gdy widzi w lustrze mgłę nie z tego świata
charcze: - oto smak życia! teraz żyję!

Głaszcze brzuch wypięty, bije weń jak w bęben
i słysząc szmer kiszek boleśnie w kłębek
zwinionych, szeptem się zwraca do lustra:
- Śmierci co w brzuchu tkwisz! I sine ma usta.

Nasłuchuje okrągłooki jak zajac.
Srebrny zegarek co wisi na brzuchu
niechaj pocieszy - przy włochatem uchu
podzielony, rozdrobniony czas tykając.

Sięga. Chce podnieść. Zegarek wrósł w mięso.
Ciągnie, rwie palcami, lecz ręce się trzęsą.
Zaś srebrny groźnie w tkankach siedzi jak narośl.
Próbuje zębami - osłabły. Starość.

Pada i psu podobny zębami szczęka,
pluje sobie w brodę, przeklina Boga,
nogą w nogę uderza: - to jest nogal!
Pazurem wpił się w skórę: - to moja ręka!

Tarza się przed lustrem, palcem brzuch naciska,
czołem uderza, ślina cieknie z pyska -
klęka, kolanami dół sobie wierci
jak zwierz od stóp aż po gardło pełen śmierci.

g. Lama
mnie - (bawo) w zimie yam
Dł -

2
8

MÓJ SPACER

Szeroką, jasną drogą, daleką drogą za miastem
idę, wchłaniając wiosnę w spragnione czekaniem płuca.
A w górze ponad myślami noc ubrana w gwiazdy
zsypuje ciemność z worków i palce w niej zanurza.
Drzewa przydrożne idą razem z moimi myślami
i mają ręce kwitnące, pachnące, młode, zielone;
czeplają się mej sukni, wołają na mnie szumami
i oczom śmieją się modrym i ustom szczęśliwie czerwonym.
Ale nic mnie nie wstrzyma. Prosto idę przed siebie,
garściami zrywam czereśnie, kwitnące puszyście--biało,
i taka jestem radosna, że świat jest dla mnie za mały.
--A Bóg pod ramię z czerwcem idzie mi jasny naprzeciw.
I wiatr mi włosy rozwiewa i w duszę
przez oczy zmrużone zagląda zuchwale.
Ej wietrze! chwyć cię w pięści i zduszę
i w szklanym skryję futerale!

"Lama"

q. Chwał

2 143³

miejsz

Biały uśmiech

Pan Markowi Zwillichowi.

Biały uśmiech,
mięsistym słowem rozpeknięte wargi,
w oknie, jak dzień, gdy pogodą chluśnie,
o parapet w sparte przyjazne spojrzenie.

/- Ulicą w słonecznym letargu...
Drzewa śpią ułożywszy głowy na poduszkach z cieni.

Wierny parkan - nie zagradzający -
jak pies stary, bezzębny u progu...
Schody, deszczem schodzone i słońcem,
miętko obcym poddają się nogom...

Pachnie kurzem tabakiera wnętrza,
niezaradnie milczą gołe ściany,
w pudle farb pogniecionych tęcza,
na sztalugach portret: "Ktoś nieznany".

Teatralnie rozrzucone szkice...
Choć niektóre, jak mgła z ponad serca,
szczerze patrzą zatartym obliczem:
bliskie mnie i wszystkiemu - życiu i śmierci -/

Uśmiech biały, przyjacielu,
usta, co jeszcze nie rozgryzły miłość,
ręce lekkie jak mewa - -
niech się weselą:

[zaczynać życie - tak miło,
gdy serce jak owoc nabrzmiewa !

--oOo--

"Chwał"

"Bez godła!"

34⁴

Defilada

w krwawym blasku
na szabli zagrało słońce kolorowe
i szeregi stepowych koni
na defiladę powiódł oficer w kasku
a potem szeregi nowe
ludzi w strój ozdobionych broni
na paradę! z bronią na paradę!
więc raduj się, rodzie człowieczy,
matki, bądźcie rade!
z bronią, od której krew ludzka ciecze
wasze dzieci idą na paradę!
oto mi huczna defilada!
bagnetami w górę sterczą karabiny
do rozpuku się śmieją bagnety
beztroskie w swojej niewinie:
ludzka ręka przecież nami włada!
myśmy zupełnie bez winy
niewinne dziewczyny
choć w nas chłopcy szukają podniety!
a mnie się bagnety ostrzami
wrywają gorzkim piołunem w pierś
a rozśpiewane szeregi
w jakimś szaleńczym wyją mi rytmie
ustami
szczerwienionemi rozpaczają
ostre jak bagnet słowa

2
,
m e
JH

What are you? even when you are
at work you are not
the same person
as when you are
at home. You are
different!

at home you are
different, you are
not the same person
as when you are
at work.

at home you are
different, you are
not the same person
as when you are
at work.

at home you are
different, you are
not the same person
as when you are
at work.

at home you are
different, you are
not the same person
as when you are
at work.

2 113 6

U C I E C Z K A

Grey Owlowi, człowiekowi lasu,
autorowi pięknej książki "Piel-
grzymi puszczy".

Kultura, powiadacie, czy to nie są żarty?
Sky - scrapery? i dymy zahukanych miast?
O, ja wolę włóczęgę, canoe i narty
Białą ciszę północy, konstelacje gwiazd

Płyniesz łodzią szczęśliwy ze swymi bobrami
Codziennie witasz z brzaskiem nowy, inny brzeg
Świat ma wtedy sens tylko gdy dyszy lasami
Gdy łęci misami stawów, błyska nurtem rzek.

Pierwszy bulgot w przerębli mówi ci o wiosnie
Ptaki niosą w gardziołkach srebrny, ranny śpiew
W smukłe sosny ktoś wiosną napędzał radośnie
I się spieszył, bo czuby dymiły już drzew.

Zbrodnie w puszczy czytałeś jak z książki otwartej —
Gdy przybyli traperzy dla zysku i skór
Tyś natychmiast przypinał do nóg chyże narty
I za nimi, w ślad zbrodni, w ciemny gąszcz i bór.

Widzisz gdzie prościej już chyba nie było idylli
Gdy Grey Owl ze swym bobrem długi dyskurs wiódł
Smutek na drogach wieczorniał jak w biblii
z drzew wysokich płynął szept nocy i chłód.

Przecież wtedy najbliższej było ci do Boga
W słowach prostych rzeźbiłeś ciszę owych chwil —
Mokasyny i sanie, żona i tobogan
Śnieg liliowy od zmięchu na przestrzeni mil.

sterczą, w górę ku niebu

oto moja treść!

to treść moich słów!

a teraz o młodości mi mów

poeto! i o zieleni śpiewaj nieskończenie!

poić się będę rytmem twych słów

mów jeszcze, mów mi, mów...

kiedy wreszcie mi odpowiesz

~~czym?~~ ^{nie!} ~~czym?~~ ^{czym?} czerwienią?

S. F. alba

Pyramiden oder italienische P. Fündet
sich allgemein bei Bologna, Ferrara in Modena
wird dort aus Samen gezogen und von vielen
Botanikern als selbstständige Art betrachtet, deren
Vaterland man in Persien oder Zentralasien sucht.
Ende des 17 Jhd. kam ein Exemplar nach Nürnberg, 100
Jahre später ein männliches Exemplar nach Würzburg
(aus der Lombardie) und von diesem stammen alle
deutschen Exemplare ab. Man rechnet in ganz
Deutschland mit acht weibliche Bäume. Anfänglich
in Fürstlichen Anlagen sehr beliebt, wurde sie
später namentlich alleobrum wegen der den Versuch.
Erster Anbau in schiedlichen Ausläufer und es
vielen auf ihre vorkommenden Ungeziefers das
wird nie in neuerer Zeit weniger angepflanzt.

nie 2 39⁸

Godło „Bez dogmatu”.

Postalgia.

O, móc się wyrwać, uciec jak najdalej,
nie myśleć o żad: o świat, przed siebie,
i wreszcie
Ić gdzieś napuścić w słonecznym upale —
Los rzucić wichrom w obłędzie i pędzie!...

Wyrwać się pętom i nie dbając o nic,
Kawet, czy wszystko sui sui się, czy
i nie sui,

Złoty chimery miłości dogonić
Na błędnych ślakach wierzgowskiej
Przebie.

List jakiś płoszący, pachnący legendą
 Mózg Północnych i daleką drogą,
 I blaskiem wielkich dni, które zdobyła
 Poezję życia!... - List... skąd?... i od
 Kogo?

Och, móc się wydrzeć, wymodlić torturę
 Tych dni bliźniaczych, które tak

Och, pójść, nie zwlekać ani chwili
 Ładniej...

Pójść wprost przed siebie - wszystko
 Ładniej,
 Jedno dotąd.

2

10 6

Kiedy przyjdę i ręce wykręca,
 Żeby oddać już kratom, co trzeba,
 (Kratom? Palkom? Sędziemu? Mordercom?)
 - Nie będę wypatrywał jasnych skrawków
 [nieka.

Kiedy swarze tych okrutnych gości
 Niechaj padnie nad błakit jaśniejsze
 światło spojrzeń, drżących od miłości,
 Niech niem wówczas jeszcze się
 [nacieszę!

Felic. w. w. v.
 r. 10. VIII. 37.

407

DODATEK

**zawierający dwa w przekładzie opuszczone
fragmenty powieści.**

Przekład niniejszej powieści Shawa jest przedrukiem z felietonów jednego z dzienników lwowskich. Redakcja tego dziennika — o czym nas tłumacz zaniedbał uprzedzić — uważała za stosowne w dwóch miejscach powieści usunąć z tekstu dłuższe ustępy, które się wydawały zbyt rażącym i zbyt radykalnym wypowiedzeniem poglądów bohatera na ustrój ekonomiczny i stosunki społeczne. O tem ocenzurowaniu dzieła przekonawszy się niestety już po wydrukowaniu znacznej części powieści, nie mieliśmy możliwości dokonanego wandalizmu naprawić. Mając jednak niepłonną nadzieję, że wśród czytelników naszych znajdziemy więcej zasobów bezstronnej i przedmiotowej ciekawości wobec autorów tej, co Shaw, miary, oraz więcej tolerancyi wobec przekonań cudzych — wszak chodzi o bohatera powieści nie zaś o ludzi żywych — uważamy za swój obowiązek, zdefektowany tekst książki dodatkowo na tem miejscu uzupełnić.

Otóż ustęp pierwszy jest fragmentem rozmowy Trefusisa z jego żoną Henryetą, który wstawić należy w miejsce ustępu na str. 113, od wiersza 15 z dołu, zaczynającego się od słów: „Ale cóż za sens...” do słów ostatniego wiersza: „I dlatego tu pozostaje.” włącznie.

Brakujący ten fragment brzmić ma jak następuje:

Z pustym żołądkiem, drżąc, z wycieńczenia z głodnymi żonami i dziećmi, znaleźli się na łasce Opatrzności w kraju, który nazywali własną ojczyzną, w którym jednakże każdy strzęp ziemi i wszystkie możliwe źródła pożywienia były w szczerlnie obwarowanym posiadaniu imych pod zbrojną

strażą wojska i policyi. Beznadziejność położenia zmuszała tych głodomorów żebrać o dostęp do fabryki z surowcem bawełny i poprzestać na byle czem, aby jeno wyżyć z dnia na dzień. Mój ojciec pozwolił im wspaniałomyślnie na użycie swej fabryki, swych maszyn i swej bawełny pod jednym ątoli skromniutkim warunkiem. Musieli długo i ciężko od wczesnego rana do późnego wieczora harować, aby jego surowej bawełnie, przerabiając ją na tkaninę, przysporzyć nową wartość. Z tej wytworzonej przez nich nadwartości musieli mi przedewszystkiem złożyć opłatę za wszystko, czego im dostarczył, za lokal, dach nad głową, gaz, wodę, maszyny i bawełnę, a potem wynagrodzić go jeszcze za własne jego czynności, jako dyrektora, kierownika i kupca. Pod tym względem nie żądał nic ponad to, co mu się ściśle należało. Skoro jednak wszystkie te pozycje były już opłacone, pozostała jeszcze kwota, którą oni wyłącznie swojej już tylko zawdzięczali pracy. „Z sumki tej“, orzekł mój papa, „otrzymać powinniście w sam raz taką porcyę, aby was głód nie dobił, resztę zaś dacie mi w nagrodę za to, że umiem pieniądz tak zręcznie gromadzić. Ote interes, jaki wam proponuję. Jest on, mojem zdaniem, bardzo dla was korzystny i doskonale potrafi budzić wśród was zmysł oszczędności. Jeśli sprawa ta przedstawia się wam w odmiennem świetle, możecie sobie sami sprawić fabrykę i bawełnę. Moja nie będzie wam potrzebna“. Innemi słowy, wolno im było iść do czarta i zdychać z głodu, wedle gustu, gdyż wszystkie inne fabryki były w rękach równie zanych mężów, którzy podawali warunki nie lepsze. Ludzie w Manchester nie umieli jednak przywyknąć do śmierci głodowej i przykro im było patrzeć, jak dzieci ich z głodu marły. przyjęli zatem ofiarowane im warunki i wstąpili do fabryki. Jak się domyślasz, na takich warunkach nie mogli oni uzbierać sobie na zapas pieniędzy, jak to on umiał robić. Stwarzali więc ogromne bogactwa, a żyli bardzo nędznie, tak, że nadwyżka, którą za nic składali memu ojcu, była nader pokaźna. Kupował za nią jeszcze więcej bawełny, jeszcze więcej maszyn i jeszcze więcej fabryk. Zatrudniał coraz więcej ludzi, którzy stwarzali mu majątek i widział, jak jego mienie wzrasta z szybkością staczającej się kuli śniegowej. Wzbogacił się olbrzymio, ale robotnicy jego choć nie mieli się lepiej niż dawniej, nie śmieli być natrętni i z pieniędzy, jakie wytwa-

rzali nie mogli więcej żądać, gdyż na ulicy czyhało wciąż dosyć głodnych włóczęgów, którzy na dawnych warunkach gotowi byli w każdej chwili miejsca ich zająć. On za to miał częste kłopoty z kryzysem, wtedy na przykład, kiedy w zapale powiększania składu kazał ludziom swym przerobić więcej bawełny niż jej publiczność potrzebowała. Albo kiedy nie mógł dostać surowej bawełny, jak się trafiło podczas amerykańskiej wojny domowej. Wówczas przystosowywał się do okoliczności i odprawiał tyle robotników, ile tego mniejszy zbyt czy zapas bawełny wymagał. Wydaleni morzyli się naturalnie głodem albo stawali się ciężarem publicznej dobroczynności. Podczas wojny domowej krążyła imponująca lista skladek na rzecz tych nieszczęśliwców, a ojciec mój ofiarował sto funtów mimo znacznych, jak mówił, strat własnych. Potem kupił nowe maszyny, a ponieważ przy nich kobiety i dzieci pracować mogły równie składnie, jak mężczyźni, a były tańsze i powolniejsze rozkazom, wysadził mniej więcej siedemdziesiąt z każdej setki swych rąk, jak nazywał robotników, na bruk i zastąpił je ich żonami i dziećmi, które prędzej od nich robić dla niego umiały pieniądze. W tym czasie dawno już przestał sam fabrykami swemi zarządzać i zdolnym ludziom, którzy własnego majątku nie mieli, płacił po parę setek funtów rocznie, aby go w tem wyręczyli. Nabył też akcje innych przedsiębiorstw, urządzonych wedle tych samych zasad. Zgarniał dywidendy, pochodzące z okolic, których nigdy nie zwiedził i z pracy ludzi, których nigdy nie widział. Kupił sobie od biednych i przekupnych wyborców mandat do parlamentu i był pomocny w obronie ustaw, które go wielkim zrobiły. Później, kiedy rozgłos jego bogactwa coraz bardziej się szerzył, nie miał potrzeby już nikogo przekupywać, gdyż ludzie nowocześni czczą bogatych jak bogów i wybierają kandydata z tego prostego powodu na swego przewodcę, że jest milionerem. Małpował szlachtę, miał pałac w Kensington i kupił sobie kawał Szkocji na rewir myśliwski. Nie jest to wcale trudno urządzać rewizy, gdyż drzewa zgoła do tego są zbędne. Wygania się poprostu chłopów, burzy ich chałupy i robi pustynię z kraju. Mój ojciec polował wprawdzie nie wiele, ale wydzierżawiał zazwyczaj podczas sezonu prawo polowania innym, którzy w tej zabawie się lubowali. Sprawił sobie żonę z krwi szlacheckiej — a mało pocieszający rezultat tego mał-

żefistwa stoi właśnie przed tobą. W ten sposób udało się Imci panu Jesse Trefusis, ubogiemu kramarzowi, zostać plutokrata i właścicielem ziemskim. I w tento sposób ja również, który w życiu swoim najdrobniejszej choćby pracy nigdy nie przedsięwzięłem, jestem przeładowany bogactwem, podczas gdy synowie meżów, których dziełem jest całe moje bogactwo, pełnią dalej jak ich ojcowie pracę niewolników, jeśli nie mra z głodu, nie tłuką się w poniewierce po domach poprawczych, lub nie waleśają po zaułkach, Bóg raczy wiedzieć gdzie i za czem. Co myślisz o tem, najdroższa?

— Ale cóż za sens dręczyć się tem wszystkim, Sydney! Wszak nie jesteś w stanie nic w tem zmienić. Zresztą ojciec twój jeśli szczydził pieniądze, gdy inni o nie nie dbali, zasłużył sobie na to, aby zrobić majątek.

— Masz rację! Tylko, że on właśnie nie robił żadnego majątku. Brał tylko majątek, który robili inni. W Cambridge uczono mię, że bogactwa jego są nagrodą oszczędności — tej oszczędności, która mu umożliwiła tak wiele odkładać. Uspokajało to moje sumienie, póki dziwić mnie nie zaczął fakt, że ktoś może sobie drugim kazać płacić za cnotę. Wtedy pojawiło się pytanie: na czem oszczędza mój tatuś? Robotnicy oszczędzali na jedzeniu, pićiu, świeżem powietrzu, dobrej odzieży, przywoitem mieszkaniu, na świątkowaniu i wydatkach, na obcowaniu z rodziną, na wszystkim prawie, co czyni życie wartem życia. To było może przyczyną, dlaczego mnie więcej o dwadzieścia lat wcześniej umierali, niż ludzie z naszej sfery. Ale nikt ich nie nagradzał za ich oszczędność. Nagrodę odbierał mój ojciec, który żadnej sobie z tych rzeczy nie odmawiał a przeciwnie używał ich sobie do syta. Zresztą, jeżeli pieniąż byłby istotnie nagrodą oszczędności, musiałby mój ojciec, jakby logicznie wynikało, dziesięćkroć więcej oszczędzać wobec pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznego dochodu niż gdyby go miał tylko pięć tysięcy. Trzeba było wyszukać coś takiego, na czem mój ojciec oszczędzał, a w czem robotnicy byli rozrzutni, coś, na czem on w miarę bogacenia się coraz więcej oszczędzał. Jedyną taką rzeczą, która ściśle tak postawionemu założeniu odpowiadała, była właśnie tylko ciężka praca, a ponieważ nigdy jeszcze nie widziałem człowieka rozumnego, któryby drugiemu za jego próżnowanie coś płacił, zacząłem pojmować, że prawdziwe do-

chody mego ojca były gwałtem wymuszane. Aby mu oddać sprawiedliwość nigdy on sam oszczędnością swą się nie chępił. Uważał się za męża ciężko pracującego a w majątku swym widział nagrodę za ryzyko, kalkulacye, troski i podróże, które zmuszony być przedsiębrać o każdej porze dnia i roku. To uspokoiło mnie nieco, póki nie przyszło mi na myśl, że gdyby był żył o jedno stulecie wcześniej, gotówkę swą włożył w jednego konia i w parę pistoletów a został rabusiem byłby miał zgoła te same intencye — wydzierałby również drugim owoce ich pracy, nie dając im nic równowartościowego w zamian — a ryzyko jego byłoby wówczas znacznie większe, gdyż narażałby się przytem na szubienicę. Nieustanna praca z grożącymi mu wciąż funkcjonaryuszami władzy na karku i obliczenia, czy też ma pocztę do Dover jadącą obrabować, kosztowałyby go aż nazbyt wiele zachodu i kłopotów. I wogóle gdyby członek parlamentu, p. Jesse Trefusis, który zmarł jako milioner w swym pałacu na Kensington był rabusiem ulicznym, nie mógłbym odczuwać głębszej odrazy do urzędzeń społecznych, które podobną jak jego karierę nie tylko umożliwiają, lecz czynią jeszcze godną czci w oczach współżyjących. Większość ludzi obiera sobie za cel dążyć w jego ślady w nadziei dojścia w ten sam sposób do życia bogatego i próżniaczego. Dlatego odwracam się do nich tyłem. Nie mogę zasiadać przy ich biesiadach wiedząc, ile one nędzy ludzkiej kosztują i widząc, jak mało szczęścia ludzkiego przynoszą. Jakież jest twoje o tem zdanie, mój skarbie?

Henryeta zdawała się być nieco umęczoną. Mdo się uśmiechając rzekła pieściwym tonem:

— Nie jesteś temu nic winien Sydney. Ja ci nie biorę tego za złe.

— Święte moce! — zawołał, zrywając się na równe nogi, z błagalnem spojrzeniem ku niebu. — Ta oto tu niewiasta sądzi, że jedyną sprawą, jaka mnie na rzeczy tej obchodzi, jest dobra lub zła jej o mnie osobiście z tego powodu opinia!

— Nie, nie, Sydney. Nie tylko ja jedna, nikt o tobie z tego powodu nic złego nie myśli.

— Całkiem słusznie — odparł z uprzejmą wściekłością. Nikt w tem nic złego nie widzi. To jest właśnie najgorsze w całej tej sprawie.

— A zresztą — zauważyła z naciskiem — matka twoja pochodzi z jednego z najstarszych rodów w Anglii.

— I czegoż więcej człowiek może żądać niż bogactwa i szlacheckiego pochodzenia! Czyż może być ktoś szczęśliwszy niż jabym być powinien, skoro pochodzę od kogoś, który posiadał monopol wszystkich źródeł dobrobytu i wszystkich środków produkcji, ziemi i maszyn? Ten właśnie grunt i ta ziemia, na której tu stoimy, była własnością ojca mojej matki. A przynajmniej prawo pozwalało mu używać jej jako takiej. Kiedy był jeszcze chłopcem mieszkała tu gromada chłopów, jako tako szczęśliwych, którzy orali glebę, płacąc mu pewną rentę za to, że łaskawie im to czynić pozwalano. Zbierali tyle, ażeby uczynić zadość jego wielkim pretensjom i swoim małym potrzebom, nie zapracowując się przytem na śmierć. Ale mój dziadek byłto mąż chytry. Zrozumiał, że bydło i owce z mięsa i wełny więcej dochodu przynoszą niż chłopi ze swą rolną gospodarką. Oczyszczył więc drogi w okolicy. Wypędził no prostu chłopów z chałup zgoła tak samo, jakto nieco później uczynił mój ojciec na swych rewirach myśliwskich. Czyli, jak to wryto na jego nagrobku, odkrył dla swej ojczyzny nowe źródła dobrobytu. Nie wiem, co stało się z jego chłopami. W każdym razie i on o tem nie miał pojęcia a nie sądzę też, aby się o to był kiedy zatroszczył. Prawdopodobnie starzy dostali się do domów pracy, a młodzi tłumili się po miastach, pracując w fabrykach podobnych do fabryk mego ojca. W dawnych ich siedzibach rezydowało teraz bydło, a opłacało się ono za dostarczaną mu paszę tak znakomicie, że dziadek mój mógł na warunkach manchesterskich wynająć robotników, którzy kanał tutaj wykopali. Mój ojciec jako akcyonaryusz brał udział w tem przedsiębiorstwie. Gdy kanał był gotów, ustanowiono opłatę za żeglugę po nim, które spadkobiercy ich dziś jeszcze ściągają. A synowie robotników, którzy go wykopali i inżyniera, który plan jego rysował, płaca te daniny, ilekroć przypadkowo nim jeżdżą lub towary przewożą. Dziadka mego przypominam sobie bardzo dobrze. Byłto dostojny mężczyzna doskonały dżentelman w obejściu. Ale na ogół sądzę, że był gorszy od mego ojca, który raz ugrazłszy w mechanizmie wadliwego systemu musiał albo sam rabować innych, albo być przez nich rabowanym. Ale mój dziadek — stary wyga! — nie był w położeniu tak kłopotliwym. Był on

panem i władcą na swojej części starej wesołej Anglii, nikt nie był w mocy zrobić go niewolnikiem, powinien był zatem żyć i innym żyć dając swobodnie. Mój ojciec poszedł wprawdzie za jego przykładem, kiedy sobie rewiry myśliwskie zakładał, ale to też był szczytowy punkt jego szkodnictwa, podczas gdy dla dziadka było punkt wyjścia. Jakkolwiek bądź jednak rzecz się ma i komukolwiek z nich palma należy się pierwszeństwa, oni obaj są naszymi wzorami, które my wszyscy usiłujemy naśladować.

— Nie wszyscy, Sydney. My dwoje przecież bynajmniej. Nienawidzę przedsiębiorców i właścicieli dóbr. My należymy do klas kulturalnych, do warstwy artystów i możemy się zdala trzymać od handlarzy.

— Tak, a tymczasem możemy błogo spożywać wielokrotnie tysięcy funtów renty i odsetek. Nie, mój skarbie, tak robią ludzie którzy sami żyją w niebie i nie chcą aby im przypomniano o piekle, nie mają atoli nic przeciwko temu, aby ono poza ich świadomością w pełni istniało. Mam dla ojca swojego więcej szacunku — to jest myślę, że mniej nim się brzydzę, bo wyzysk i grabież sam własnoręcznie uprawiał — niż dla tych czułościowych próżniaków i tchórzów, którzy mu powierzali pieniądze, aby zapomocą nich innych wyzyskiwał i ograbiał i których nic zgoła nie obchodziło, byleby im tylko odsetki punktualnie wypłacał. Co się zaś tyczy przyjaciół twych, artystów, ci są ze wszystkich najgorsi.

— Och, Sydney, wziąłeś się na to, aby we wszystkim widzieć brzydotę. Artyści nie prowadzą przeciw fabryk.

— To prawda, ale fabryki są też tylko częścią w mechanizmie całego systemu. Jego podwaliną jest tyrania siły mózgu, która wśród ludzi cywilizowanych jest w mocy działać podobnie jak siła mięśniów pośród młodzieży szkolnej i dzikich. Chłopcy ze szkoły mówią: „Jestem silniejszy od ciebie musisz więc oddać się na moje usługi. Rozkaz dorosłych brzmi: „Jestem przebieglejszy niż ty, musisz więc być na moje usługi“. Stosunki te, którym się poddajemy, są same w sobie już dość przykre, stają się atoli nie do zniesienia, jeżeli tępi i mniej niż przeciętni potomkowie takich chytrych spryciarzy roszczą sobie prawo do dziedziczenia ich przywilejów. Tymczasem nikt tak uparcie nie jest przywiązany do nieograniczonych praw geniuszu i talentu jak twój artyści. Wielki malarz nie

18

zadawała się tem, że go poszukują i podziwiają, bo ręce jego, jak się rzecz ma istotnie, umieją więcej niż ręce zwyczajne—nie, chce on jeszcze tak być karmiony, jakby żołądek jego, co już wcale nie jest zgodne z prawdą, wymagał więcej pokarmu niż żołądki zwyczajne. Praca dzienna jest dzienną pracą, ani więcej ani mniej, i kto przez cały dzień pracuje, konieczne mu jest na utrzymanie, sen i wypoczynek, czy chłopem jest czy malarzem. Ale taki hulaj jeden z drugim malarz, poeta, lub powieściopisarz lub inny jakiś podobnie zbytkowne zajęcie mający nie czuje się dość zadowolonym, że pod względem powszechnego poważania wyżej stoi od chłopca, chce on jeszcze i pieniędzy mieć więcej, jak gdyby dzień miał więcej godzin w pracowni lub w bibliotece, niż na wolnym polu. Jak gdyby do wykonania swej pracy potrzebował więcej pokarmu od chłopca. Mówi o wyższości swego rodzaju pracy, jak gdyby to wyższe jej szacowanie było własną jego zasługą — jak gdyby miał prawo mniej sąsiadowi swemu świadczyć, niż on jemu świadczy, jak gdyby chłop nie obchodził się łatwiej bez niego niż on bez chłopca — jak gdyby wartość najstłynniejszych malowideł nie była wątpliwsza od prostej skiby ornej — jak gdyby nie trzeba było równie wiele lat nauki do wykształcenia ręki i oka murarza czy kowala jak artysty — jak gdyby, krótko mówiąc, dżentelman taki był naprawdę bóstwem, jak go o tem fantazyujący wielbiciel sztuki od lat zapewniają. Artyści są arcykapłanami nowoczesnego Molocha. Dziewięć dziesiątych wśród nich są to chore stworzenia, które tyle jeszcze tylko mają rozumu, że na swym rozstroju nerwowym umieją robić interes. Jedynym ich przymiotem, który budzi we mnie odrobinę szacunku, jest pewien wzniosły egoizm, który im każe raczej samemu morzyć się głodem i głodzić rodzinę niż robić coś, co im nie przypada do smaku.

— Naprawdę, nie masz zgoła racyi, Sydney. W szkole slōjdu kolegowalałam z dziewczyną, która z rysunków utrzymywała matkę i dwie siostry. Zresztą, cōż mozesz uczynić? Świat jest już takim i zmienić go nie jesteś w stanie.

— Tak dzięki naiwności ludzi jestem właścicielem ziemskim i kapitalistą, i oni tylko mogliby mi odebrać wszystko to, co posiadam. Ja sam natomiast nie mam możności wydobyć się ze swego położenia. Musiałbym chyba odstąpić moich niewolników ludziom, którzy nie lepiej postępowałiby z nimi,

aniżeli ja to czynię. Sam zaś musiałbym stać się niewolnikiem, co znowu zgoła mi się nie uśmiecha. Nie, moja droga, dla mego i twego dobra, muszę już nogę trzymać na ich karaku. Ale ty nie wiele dbasz o te nudne historie. Sumienie mnie dreczy, że cię, mój aniele, nabawiłem zmartwienia. Chcesz wiedzieć, dlaczego ja pustelnik, przebywam w dwóch izbach tej chaty, zamiast używać w Londynie rozkoszy życia towarzyskiego u boku swej pięknej i ubóstwianej małżonki.

— Ależ nie zechcesz chyba przecież Sydney, nadal tu pozostać?

— I owszem, i powiem ci również, dlaczego to czynię. Chcę robotnikom z Manchester, którzy byli niewolnikami mego ojca dopomagać do wyzwolenia. Aby to osiągnąć, muszą wszyscy ich współniewolnicy na całym świecie złączyć się w jeden, wielki, międzynarodowy związek. Muszą ślubować, że zarówno pracą całego świata jak i jej wytwory rozłożą sprawiedliwie, nie dadzą żadnemu dorosłemu a krępkemu leniuchowi czy symulantowi złamanego szeląga i uważać będą w społeczeństwie każdego za pasorzyta, kto zechce mieć więcej ponad udział z ogólnego dorobku niż przypadający, w pracy zbiorowej mniejszy biorąc współudział. Przeprowadzić to będzie bardzo trudno, gdyż i robotnicy, jak wszyscy ludzie, którym chce się dopomódz, własnych nie dostrzegają korzyści i pomagają często swym ciemniejszym własnych swych wybawców wyganiać przy lubych dźwiękach Rule Britannica lub innej, podobnie niedorzecznej bredni. Musimy najpierw głowy ich od tego wyzwalać a tymczasem pilnie pracować nad budową międzynarodowego związku robotniczego. Trudnię się teraz propagandą tych zasad. Pochodowi naszej idei rychłoby drogę zagroził kapitalizm, zorganizowany rzekomo celem rządzenia, w rzeczywistości jednak zmierzający do ujarzżenia narodu, gdyby istotę naszych zamiarów zrozumiał. Przypuszcza jednakowoż, że zajmujemy się knuciem zamachów i spiskami na głowy koronowane i podczas gdy policja w sposób niezdarny szuka na to dowodów, prawdziwe dzieło nasze spokojnie rozwija się dalej bez przeszkód. Czy ja sam istotnie sprawę popycham naprzód, nie jestem w mocy napewno tego twierdzić.



Drugi zgoła niewinny przez cenzurę redakcyjną inkryminowany ustęp powieści jest fragmentem historii nagrobka żony Trefusisa i wstawić go należy między 14 i 15 wiersz z góry na str. 201 tekstu.

Opuszczony ten fragment brzmi:

Trefusis natrafił teraz na pewną trudność. Postanowił czeladnikowi zapłacić ściśle za wartość jego pracy, ani mniej ani więcej. Nie dało się to atoli obliczyć. Jedynym, jaki miał miernikiem była cena targowa, a tę, jako wynikającą wyłącznie z współzawodnictwa kapitalistów, z góry odrzucał. Wszak przedsiębiorcy zysk swój osiągnąć tylko mogą, dostając od robotników więcej wytworów pracy, niż za nie zapłacili — odbiorców zaś swych kuszą do kupna, zapomocą opustu ceny, zrzekając się na rzecz ich pewnej części niezapłaconej pracy. Przedsiębiorcy dostarczyli wszak robotnikom nieodzownych środków życia i pracy pod tym tylko warunkiem, że oni znów próżnującej klasie przedsiębiorców zapewnią stosowne utrzymanie, sami zadowolając się znacznie niższą stopą życiową. Sprawiedliwe wyznaczenie zatem wartości zamiennej i uczciwa zgoda między nimi jest wręcz nieosiągalna. Trefusis był ostatecznie zmuszony zapytać kamieniarza, coby on za wykonanie projektu musiał żądać jako zapłaty przyzwoitej, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że jeszcze mniej od niego jest on w możności kwestyę tę należyście rozwiązać. Gdyby bowiem był nawet żądał tyle, ile spodziewał się dostać, żądanie było przecież uwarunkowane jego ubóstwem i konkurencją z właścicielem przedsiębiorstwa kamieniarskiego. Trefusis załatwił sprawę w ten sposób, że ofiarował dwa razy tyle, jak przedsiębiorca pierwotnie żądał, stawiając jedynie jako warunek, że kamieniarz musi całą pracę sam wykonać i nie wolno mu liczyć na żaden zysk uboczny z najmowania innych robotników.

Ku zdumieniu rysownika sam projekt atoli miał być jeszcze osobno wynagrodzony. Kamieniarz wahał się długi czas między żądaniem dwóch funtów i czterdziestu szylingów, a pięciu funtów, aż mu jeden z towarzyszy pracy przy traktamencie grogiem wpoił odwagę żądania wyższej kwoty. Trefusis wypłacił ją natychmiast i zabrał się do obliczenia, ileby też podobny projekt działa wybitnego profesdra aka-

demil był kosztował. Zasięgnawszy w tym celu opinii pewnego dżentelmana na takim właśnie stanowisku, którego przypadkowo znał osobiście, dowiedział się, że prawdopodobny koszt wynosilby pięćset do tysiąc funtów. Trefusis nie tał się z wypowiedzeniem przekonania, że żądanie kamieniarza wydawało mu się rozsądniejsze, na co mu jego przyjaciel artysta z pewnem rozdrażnieniem przypomniał, ile lat akademii sztuki poświęcić musi rzeźbiarz zanim wykształci do tak wysokiego stopnia swą biegłość artystyczną. Trefusis zarzucił, że czas nauki czeladnika kamieniarskiego trwa równie długo, jest zaś dwakroć tak żmudny, nie będąc w połowie tak miły. Artysta wmawiał sobie dotąd, że sympatyzuje z socjalistycznymi poglądami Trefusisa, teraz jednak zaczął się w nich dopatrywać czegoś równie brzydkiego, jak niebezpiecznego. Zarywał, czy za talent nie należałoby się nic płacić, na co gwałtownie odparł Trefusis, że talent właściciela swego nic nie kosztuje i jest dziedzictwem całego gatunku, które przypadkowo dostaje się jednemu człowiekowi. Jeśli więc ten człowiek monopolu swego używa na to, aby innym wyciągać pieniądze, nie zasługuje na nic lepszego, jak na szubienicę. Artysta stracił wreszcie cierpliwość i zauważył, że Trefusis jeśli już nie umie odczuć, iż przywileje sztuki są pochodzenia boskiego, zdola przynajmniej pojąć, że żaden malarz nie będzie tak głupi, aby za pięć funtów projektować nagrobek, skoro za malowanie portretu dostaje ich pięć tysięcy. Trefusis odpowiedział, że już sam fakt, iż ktoś płaci tysiąc funtów za portret, dowodzi, że pieniędzy tych nie zapracował i że musi być złodziejem lub żebrakiem. Zwyczajny robotnik, który na podarowanie swej bogdanie taniej fotografii poświęca ze swej tygodniowej płacy sześć pensów, lub który płaci cały szilling za parę oleodruków czy figurynek gipsowych z Delft, aby je ustawić na swym kominku, ponosi gwoźli nabycia dzieła sztuki uszczerbek grubo wyższy niż właściciel dóbr czy akcyonaryusz, który jest zbyt bogaty, aby odczuwać ubytek tysiąca funtów wydanych na zakupno takiego obrazu jak Hogartha Jack Sheppard, obrazu zatem, który interesować może tylko ludzi studiujących fizyonomie kryminalne. Tu powstał żywy spór. Trefusis wytykał bezmyślność artystom, którzy wmawiają sobie, że są kasta kapłańska, będąc tylko pasorczytami i protegowanymi niewolnikami klasy posiadającej.

Jego przyjaciel, który stał się w mig jego wrogiem, drwił za to niemiłosiernie z wyrównywaczy, którzy wszystko sprowadzić usiłują do poziomu niższego, nie umiejąc go podnosić. Wreszcie znużyli się obaj kłótnią i wstydząc się wzajemnie swych ostrych przymówek spożyli po przyjacielsku wspólną kolację.

I. kor.¹³

13.VII

W dziele Solohuba znajdujemy skądinąd rzadkie zestawienie: najkrańcowszy, brutalny realizm z najkrańcowszą mistyką.

Nic w tem dziwnego. Życie rosyjskie jest pełne sprzeczności i wobec najbardziej niemożliwych połączeń musimy złożyć broń i powiedzieć: skoro to rosyjskie, wszystko jest w porządku.

Mistyk odczuwa zawsze wszelkie zjawiska konkretne silniej, niż jakikolwiek inny typ psychologiczny człowieka. Wszakże mistyka w przeciwstawieniu do religii jest właśnie przeżywaniem, a nie tylko wyznawaniem boskości we wszechświecie. Dusza mistyczna wszystko przetwarza na stany realistyczne, bo nie tyle ujmuje poznawczo, abstrakcyjnie, ile przeżywa. Więc po przez zjawę, a nie pomijając ją dociera do swych źródeł.

Lecz ponieważ istotnie była u źródeł, opromienienia rzeczywistość odblaskiem czegoś innego, wiecznego, otwiera poza nią lotne i niebieskie perspektywy. Wsącza jakby w rzeczywistość muzykę swojej ekstazy.

Solohub jest mistykiem bez ekstazy. Szuka jej, pragnie, lecz napróżno. Ani w perwersyi płciowej, ani w marzeniach o innym bycie nie znajduje drgnienia prawdziwej ekstazy. Bo w tej zimnej, żmijowej naturze ani płoną zmysły, ani duch. A żadna lampa elektryczna prawdziwego, wewnętrznego ognia nie

II

zastąpi. Jak zimny blask sztucznej elektryczności, jest jego uroczna, guślarska mowa o zaświatach. I ponieważ wszystko to chłodne jest w nim i sztuczne, więc ziemskiej zjawy ekstazą swoją nie opromienia, że nienawidzi świata, ludzi, siebie, więc oddaje ją z całym bezbrzeżnym wstrętem, w całej nagości, nie starszy ani jednego bryźnięcia błota, ani jednej plamy, nie ostoniwszy ani jednego wrzodu.

Sołohub odrzuca cały ten świat małości, bólu, brudu, wrogości, skazuje go na zaturę i siebie wraz z nim. Tylko piękno cielesne i rozkosz cielesna, jako źródła ekstazy, są dla niego jasną stroną życia. Lecz i tu nie jest Sołohub prosty, harmonijny, jasny. Deklamuje o hellenizmie, a sam szuka piękna w perwersyi, bo zwykle podniety nie wystarczają dla tej wystygłej, mózgowej, sztucznej natury.

Wstręt i obrzydzenie do świata jest cechą iscie wschodnią, cechą biernej, niewolniczej natury, która nie potrafi rzeczywistości przetworzyć, złego w niej zwalczyć. Za to będzie się habrała, gmerała z upodobaniem w źle dookolnem, będzie podpatrywała ze szpiegowską bystrością drobne, małostkowe, złe pobudki czynów. Działanie zahamowane rozlewa się we wnętrzu człowieka w staw cuchnący. Kto czynnie ze światem się łączy i zdolen jest wyczuć, jak poza nędzną codziennością rośnie jednak i rozjaśnia się dusza zbiorowa, ten nigdy nie potępi życia. Kto kocha świat, ku temu on nigdy nie odwróci się obliczem wroga.

Sołohub, jak potworny pajak, siedzi, we własną głęb zapatrzony i snuje swe pajęczyny, pajęczyny uroczne, zgubne, trucicielskie. Realistyczna historia obłędu nauczyciela Pieredonowa urasta na symbol

wrogości świata. Zła siła, bies urągliwy, nie ten demoniczny, olbrzymi Lucyfer, lecz drobny, złośliwy, cuchnący chochlik kręci się dokoła duszy ludzkiej, nazawsze przerażonej i włada nią i oczynia.

Iście rosyjskiem jest żmudne, drobiazgowo wywlekanie wszelkich sytuacji niezręcznych, podłych, chaotycznych, pełnych wstydu, sprośności i brutalności. Rosyanina, zda się, korci, że jeszcze zostało coś niedomówionego, niewyrażonego, niekniętego. Bez względu na czystość i odór, musi sięgnąć wszędzie. Ta sama potrzeba psychologiczna, która każe dochodzić do samobiczującej się szczeroci w godzinę pijaństwa lub nastroju metafizycznego, zmusza też wszystko obnażać, aż do żywego mięsa, aż wrzenie estetyczne przechodzi w kliniczne.

Dla polskich czytelników „Drobnego biesa“ od strony symbolicznej tej powieści ważniejszą ciekawszą jest strona realistyczna. Zawiera ona bowiem doskonałą satyrę rosyjskiego życia prowincjonalnego i sfer pedagogicznych.

Powiedziałem „satyrę“, lecz wyrażenie to nie jest ścisłe. Wszak jest to tylko wiernie oddany obraz rzeczywistości, która sama przez się jest żyjącą satyrą.

Czytelnik polski nie jest w stanie w zupełności odczuć tonu tej powieści. Po rosyjsku jest ona pisana językiem składającym się z wyrazów ludowych i urzędowych, przeplatanych tylko zwrotami zwykłego języka literackiego. Daje to zabójcze wrażenie niemożliwej, banalnej szarzyzny i brutalności z jednej strony, zaś martwej, sztywnej oficjalności — z drugiej.

Kto z nas nie znał tej oficjalności, tego mówienia wyrazami odbarwionemi z wszelkiej treści żywej,

IV

z wszelkiego uczucia, powykrecanemi tak, by stały, jak żołnierze na mustrze i nie uczyniły ani jednego ponad przepis ruchu!

Kiedy mówi dyrektor gimnazjum, Chrypacz, (nie inaczej, jak: „zakład powierzony mojej pieczy“, „muszę zaznaczyć“ i t. d.), albo przyszły gubernator, Wieriga, spadają na nas wyrazy, jak uderzenia kolby w kark. Ten suchy język stworzony jest jak gdyby do oddalania na wieki jednego człowieka od drugiego, do siania we wszechświecie poczucia obcości, osamotnienia i dławiącej przemocy, szorstka, szablonowa, przepisana w każdym wypadku! Ze wszystkich niesamowitych gestów rosyjskości ten ma w sobie grozy najwięcej. To jakby trup gnijący, który idzie w mundurze galowym, ruchami automatycznymi, tak automatycznymi, że włosy powstają na głowie.

Ludowe zwroty w powieści Sołohuba posiadają tyle brutalności, że w naszej mowie ich oddać nie można.

Jest tam to wycie wichru, to klątwy, to sprośność bezczelna, to gwizdanie kozackie. Spadają one na opanowanego przez zmorę tej powieści czytelnika, jak ciężkie szufle błota. I powstaje przed nami obraz życia zastygłego w ciężkiej tęsknocie i udręce. Dawniej duże „Biesy“ Dostojewskiego napastowały duszę rosyjską. Teraz drobny, nędzny, piskliwy bies płąsa zwycięsko nad bagnem, w które wszystko po-grążył. Duży Bies był wrogiem w otwartym polu. Mały Bies jest każdodzienną trucizną, sącząca się w żyły z oddechem, jest niewidzialną, nie dającą ująć się zmorą.

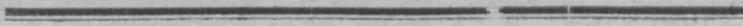
Gehe nna skurczyła się, stała się małą, czarną jamą, lecz wara zbliżyć się do niej. Trujące wyziewy



oczadzą i wepchną do niej niepostrzeżenie. Przy zetknięciu z państewkiem „drobnego biesa“ czujemy łamanie, ból głowy, od nieznośnego czadu. Tym czadem jest zbyt obnażający, zbyt dotykający, zbyt skórny i mięsny realizm, spotykany nie tylko u Sołohuba, lecz w całej literaturze rosyjskiej. Dlatego posiada ona tę suggestyjność, ten magnetyzm węzowy, jak wszelkie zjawisko sensacyjne, które i wzbudza odrazę i niezdrowo pociąga. Między tą literaturą, a literaturą zachodu jest taka różnica, jak między kinematografem a teatrem w wysokim stylu. Działa na zmysły więcej, niż jakakolwiek inna literatura i dlatego tak łatwo podpaść pod jej wpływ. Trzeba się nad tem głęboko zastanowić. Trzeba znać to życie, na którego wpływy tyle naszej młodzieży jest wystawione.

I stosunek nasz do tej powieści powinien być wyłącznie poznawczy. A do poznania, trzeba przyznać, jest wiele, gdyż „Drobny bies“ jest momentem samoobnażającej się i samobiczującej się szczerości literatury rosyjskiej.

Eugeniusz Zahorski



IV 29
„Dobry bies Teodora
Tatubaba.

~~W dziele Tatubaba znajduje~~
~~się skądinąd nader res-~~
~~tawie: najkrainawoy, brutal-~~
~~ny realizm z najkrainawo-~~
~~nistyka.~~

~~W~~ ^{nie, w ten dziwny} życie rosyjskie jest peł-
ne sprzeczności i wobec naj-
bardziej niemożliwych poto-
ceń musimy stać się broni
i powieścić: skoro to rosyj-
skie, wszystko jest w porządku.
~~Tatubaba wadliwym~~
~~my, Władimir~~

~~Tatubaba~~ Mislyk ~~ma~~ od-
czuwa zawsze wielkie zjawis-
ka konkretne silniej, niż ja-
kikolwiek inny typ psycho-
logiczny człowieka. Władimir
mislyka w przeciwstawieniu
do religii jest właśnie pre-
izmaniem, a nie tylko wyzna-
nianiem boskości we wszech-
świecie. ~~Wobec tego~~ Dusra mi-
slyka wszystko przewidziana na
stany realistyczne, bo ~~nie~~ nie
~~tylko~~ tylko ujmuje postawę, ab-
strakcyjnie, ile precyzyjnie, więc
po prez zjawę, a nie pomijając

ja, deciera do swych inoet, ²
Lecr pocienar i stobnie by
ta u inoet, sprawicicua recny-
wislosc odblaskiem cregos
innego, wiecznego, otwieru po-
ra nia, lobne i niebieskie
perspektywy. Wsacra jakby w
recnywislosc muryke swojej
ekstary.

Lotakub jest mistykier ber-
ekstary. Laska jej, pragnie, lecr
naproino. Cui w perwerzji
ptciarnej, cui w maceciach
o innym bycie nie znajduje
drogniecia prawekimej ekstary.
Bo w tej zimnej, zimijanej na-
kurze cui ptaua, zimysty, air
dich, a iadna lampu elektrycz-
na prawekimego, niezostane-
go ognia nie rastapi. Jak
zimny blask odlicznej elektrycz-
nosci jest jego uniesna, gu-
slanska mowa o raiwiatach.
I pocienar wogystho to chlod-
ne jest w nim i odliczne,
wize nienskiej jrawy ekstare
swoja, nie apuornicicua. A
ie niensawiczi swiata, ludzi,
siebie, wize oddaje ja, z ~~ta~~
z calym bezbrerimym wstystem,
w caliej nagosci, nie stantory
cui jednego brujiniczia blo-
~~ca~~ ta, cui jednej plauy,
nie astawimory cui jednego

wzroście.

3
30

~~Dla Sotoburba~~

Sotoburba odrzuca cały ten świat małości, bólu, brudu, wrogosci, skaruzę go na szkodę i sobie wyrar z nim. Tylko piękno cielesne i rozkosz cielesna, jako źródła ekstazy, są dla niego jasnym źródłem życia. Lecz i tu nie jest Sotoburba prosty, najmniej jasny. Deklamuje o belleznie, a same rymy piękne w perwersyi, bo zwykłe podmioty nie wystarczają dla tej wystygłej, niógowej, skucznej natury.

Wstręt i obrzydzenie do świata jest cechą życia wschodnia, cechą bliźniej, niemoralniejszej natury, która nie potrafi w rzeczywistości przemocy, tego w niej zrealizować. Za to będzie się babrać, gmerać z upodobaniem w ile doskonałym, będzie podpaływać re spiegowską bystrością drobne, mataskome, te populki cyprów. ~~Wymiar~~ Działanie zahamowane noszenia się we wnętrzu człowieka w sławie eucharysty. Kto cyprnie w świecie się łacny i rdolen jest wymieć, jak po ra niedźmia

codziennością, nośnię jednak²¹⁴
i rozjaśniam się duszą rżiwą,
na, ten nigdy nie potępi życia.
Kto kocha ^{świat} ~~łaski~~, ku temu ^{on} ni-
gdy nie odwróci się obliczem
wroga.

Łotokub, jak palmarium
pająk siedzi w mięsnej głąb
zapachony i smije swe
pajęczyny, pajęczyny urwane,
czubne, trucielskie. Realistyczny
na historią obłędu narecy-
ciela Piętdorawa urasta na
symbol wrogosci świata. Zła
sita, kies wrogliwy, nie ten de-
moniczny, albrzymi Lucifer,
lecz drobny, wąsliwy, czechow-
cy chochlik ~~okaza~~ & kusi się
dokoła duszy ludzkiej, nara-
wne puerariarej i woda nia,
i cerynia.

Iskie ryzykiem jest
~~Emuque~~
~~niedne~~, doświadczone wywleko-
nie wszelkich sytuacji nie-
wczesnych, podstępnych, chachy-
nych, pełnych wstydów, nie-
~~wierze~~ ~~ności~~, sprasności i brutalno-
ści. Rosyjanina, zda się, karci, że
jeszcze zostało coś niedomio-
wionego, niewyrażonego, nie-
skrzętego. Bez względu na kry-
stalic i odór, musi sięgnąć
wzrokiem. Ta sama palucha przy-

5

Chologiczna, która karcie docho-
dzić do samobiciajcej się, netero
ści w godzinę pijanstwa lub
nastroju metafizycznego,
nie summa tej wszystko abna-
iaci, abnariac, ai do innego nie
sa, ai wracicie estetyczne
pnechodki w kliniczne.

Dla polskich krytyków
„Drobnego biesa” od strony sym-
bolicznej tej powieści waniej
na, i ciekawą, jest strona
realistyczna. Zawiera ona ho-
wień doskonałą, satyrę, no,
syjskiego życia prowincyo-
nalnego i sfer pedagogicznych.
~~W~~ # Powieściatem „satyrę”, ten
wypisicie to nie jest icie.
Wszak jest to tylko wierne od-
danie obraz rzeczywistości, któ-
ra sama przez się jest nija-
ca satyra.

Krytyk polski nie jest
w stanie w zupełności odnieć
sensu tej powieści. Po rosyjsku
jest ona pisana językiem
składającym się z wyrazów
ludowych i umiędowych, przeplo-
taczym tylko ~~wyrazów~~ ~~inwencji~~
~~głównie~~ ~~składającym~~ ~~się~~ ~~z~~ ~~wyrazów~~ ~~ludowych~~ ~~i~~ ~~umiędowych~~,
tawir, zwykłego języka literac-
kiego. Daje to zabójce wracicie
nie możliwej, banalnej narysany

63
i kruszalności z jednej strony,
zaś mądrej, zdyszaney optymal-
ności - z drugiej.

Kto z nas nie znał tej ofi-
cjalności, tego mówienia wy-
razami odbarwionemi z wiel-
kiej treści i głębi, z wielkiego
wzruszenia, powykręcane tak,
by stały, jak iatwienie na m-
stwie i nie uchyliły ani jedne-
go ponad przepis ruchu!

Pieczęć mojej dyrektor gimna-
zjum ^{Chyżna} (nie inaczej, jak: „zabłęd
powierzony mojej pieczęci”, „ma-
ne zastąpić” i t.d.), albo przy-
szły gubernator, Meriga, spr-
dają na nas wyrazy, jak
^{uderzenia} ~~nie~~ kolby, w kark. Ten suchy
język szmarany jest jakgdy-
by do oddalenia na wielki
jednego człowieka od drugiego,
do ścianie we wrochświecie
poczucia obcości, i samotnie-
nia i dławionej przemocy. ~~—~~
^{branska} ~~—~~, naklonowa, przepisana w
kaidym wypadku mowa!
le wszystkich niewamowitych
gestów naszyjskości ten ~~jest~~
ma w sobie grony najwięcej.
To jakby trup gnijący, który
idzie w mundure galowym
niechamnie - automatyzmem,
tak automatyzmem, i m-
to-

sy powstają na grawie. 7

Ludowe zwroty ~ powrót
Sotchuba posiadają, które były
• buntalności, że w naszym mo-
wie ich oddać nie można.

~~Jest to jego powrót jeden~~
obraz: Jest tam to wybie wi-
chu, to błyski, to sprasnie
bercelna, to gwizdanie karac-
kie. Spadają one na oparowa-
nego pnie smogu tej powrót
cymbelnika, jak ciężkie orfle
biata. 7 powstaje przed nami
obraz życia rozległego w
cisłej leskocie i udnie,
Dawniej dzie „Biesy” dostają,
skiego napastowały duse
rosyjska. Teraz drabiny, udany,
piskliwy bies płosa wy-
różko nad bagnem, w które
wszystko pogrzeżył. Jedy Bies
był wrogie w adwartem polu,
Maty Bies jest kardodzieńna,
Amuriska, szeroka, się w żyty z
oddechce, jest niewidzialna,
nie dająca, ująć się zwraca.

Geenna ~~stała~~ się skurczy
ta się, stała się mata, czar-
na, jama, lecz wawa zbliżyć
się do niej. Trójce wyniewy
ceradra i wpełzną do niej
niepostęcznie. Przy rekiercin
z paistewkiem „drobnego
biesa” cująmy ~~o~~ Tamanie,

wał głąwy od nierności 8
cradu. Tym cradem jest rbył
obnarajacy, rbył dotykalny,
rbył skarny i mierny rea-
lism, upotykalny nie tylko
u Lotakuba, leu w całej eite-
raluce rasyjskiej. Dlatego
posiada ona te, ~~ty~~ sugge-
slyjność, ~~te~~ tu magnetyzm
merawy, jak muelkie jawis-
sensacyjne, klone i wchucha-
odwaz, i niernymu precyga.
Miedny ta, literatura, a litera-
tura, rashedu jest taka rari-
nica, jak miedny kinemato-
grafem a ~~sympia~~ teatrem w
naysokim stylu. Dziala na
zmysly wiecej, niz jakakolwiek
inna literatura i dlatego ta
Tadmo ^{podpasie} pod jej wplyw. Treba
sie nad tem gluboko zastano-
wic. Treba znać to izie, na
klonego wplywy tyle naszej
wtodniey jest wystawiane.
Z slusunek nas do tej powie-
sci powiniem byc ~~prede-~~
~~war~~ wytgzenie poznawcy.
A do poznania, treba przy-
znać, jest wiele ^{gdzi} "Drobny
bics" jest ^{momentem} ~~chwilą~~, samobna-
rajacej sie i samobicnyjacej sie
nierenosci literatury rasyjskiej.

Eugeniusz Zakarster

Wstęp do książki
"Dobry wie" Solonka
"Dziwi dziekiem, jak
cały świat i przysłał
do Nowego" RS

Dodatek dwa opuszczone w przekładzie
fragmenty powieści zawierający.

Przet

Przetad niniejszej powieści Shawa jest jure,
 drukiem z foliówion jednego z dziełników lwowskich.
 Redakcja tego dziełnika — o czeu nasttumar
 kanioblat uprzedzi — uwaraba za stasowne w dwóch
 miejscach ~~powieści~~ ^{powieści} usunąć ~~niektóre jej ustępy~~ ^{niektóre jej ustępy} z ~~tekstu~~ ^{tekstu}
^{ustępy} ~~ustępy~~, które ~~by~~ ^{by} się wydawały zbyt raziącym i zbyt
 radykalnem wypowiedzeniem poglądów Boha,
 tera na ustroj ekonomiczny i stosunki społeczne.
~~Wskazywano~~ ^{Wskazywano} na ten pcenturovanu ~~niebajako~~ ^{niebajako}
~~nie dop~~ ^{nie dop} po wydrukowaniu ~~tego~~ ^{tego} znacznej części
 powieści, nie mieliśmy możności ~~wandalizmu~~ ^{wandalizmu} ~~tego~~
 naprawić. Mając jednak nieplonną nadzieję,
 że wśród czytelników natycht najdricim więcej
 zasobów Verstronnej i przedmiotowej ~~ciekawości~~
 wobec autora tej, co Shaw, miary, oraz więcej tole-
 rancji wobec przekonań cudzych — usnak chodzi
 o Bohatera powieści, nie rai ~~o ludzi~~ ^{o ludzi} ~~tych~~ ^{tych} — uwa-
 ziamy za swój obowizek, ~~złożyć~~ ^{złożyć} ~~niektóre~~ ^{niektóre} ~~ustępy~~ ^{ustępy} ~~które~~ ^{które}
 dodatkowo na tem miejscu wrzucić.

Otoż ustępy pierwszy jest fragmentem normony Trefusisa
 z jego iony Steuryta, który wstawic nalezy ~~na str. 113~~
 w miejsce ustępu na str. 113, od wiersza 45 z ~~do~~ ^{do} ~~zakrycia~~
 jego się od słów: "Ale co's za sens..." ~~do~~ ^{do} ~~zakrycia~~ ^{zakrycia} ~~ostat~~
 niego wiersza: "I dlatego tu porostaję." ~~wstawić~~

tylko ciężka praca, a ponieważ nigdy jeszcze
nie widziałem człowieka rozumnego, któryby
drugiemu za jego próśnowanie coś płacił, zwłaszcza
postanowił, że przedziwne dochody mego ojca
były gwałtem wymuszone. Alby mu oddać
szlachetności, nigdy on sam by oszczędności
swoją nie chciał. Uważał się za mędrca
iż to pracującego a w majątku swoim ni-
czal nagrodę za ~~to~~ ryzyko, ~~co~~ kalkulacji
czy troski i podryż, które zmuszony był
przedsięwziąć o każdej porze dnia i roku.
To uspokoiło mnie nieco, póki nie przy-
szło mi na myśl, że, gdyby był żył a jedno-
stalenie wreszcie, gotów był swój wózek a jedno-
konia i w parę pistoletów a ~~restem~~ ~~własną~~
^{restem własnym} ~~własną~~ byłby miał egoba te same
interesy — wydierałby to wiersz drugim powo-
iż pracy, nie daje im ~~to~~ nic równowarto-
ściowego w zamian — a ryzyko jego ~~zawodzenia~~
byłoby znacznie większe, gdyż naraziłby się
gwałtem na kaźnię. Nieustanną pracą,
a ~~groźnym~~ ^{temi} mu wzięci funkcjonaryusami
wtedy na parku i obliczenia, czy też na porcie
do Dover jadąc obrał, wstępnie, ~~nie~~
~~by~~ kontowałyby go aż narobił wiele rachob
i błędów. I wogóle gdyby członek parlamentu,
p. John Trevelick, który zmarł jako milioner
w ~~swym~~ pałacu na Kensington, był dalusiem
ulicznym, nie mógłby przewidzieć gębszej

905

Twoja pochodzi z jednego z najstarszych
rodów w Anglii.

— I czego więcej stworzyć może zaden
miej bogactwa i słasheckiego pochodzenia!
Czyli może być ktoś szlachliwy niż ja bym
był poimied, skoro pochodzi od Rogoś, który
ponadto monopol wszystkich ziem i dóbr
i ^{prywatnych} środków produkcji, wiewu i maszyn? Ten
własnie grunt i ta kiewia, na której to stoi
była własnością ojca mojej matki. A przynajmniej
prawo porwałaby mu wyrzucić ją jako takiej.
Kiedy był jeszcze chłopcem mieszkała tu grona-
da chłopów jako tako szlachliwych, którzy
orali glebę, placąc mu pewną rentę za to, że
kaszaliby im to czynić porwalano. Zbirali
tyle ardeby uczyć się zalepsi jego wrokiem. pre-
stusyon i swoim małym potrzebom, nie
za pracownicy się przytem, na śmierci. Ale
mój diabeł był to mój chytry. Krowiad,
był to j owce z męsa i wiewu więcej
wiewu przynosił niż chłopci ze swą rolą
gospodarkę. Oczyszczył więc drogi w polocy.
Wypędził go prosty chłopów z ich chleby,
złota tak samo, jak to nieco później wiewu
był mój ojciec na swój rewizad myśliw-
skich. Byli, jak to wiewu na jego nagrobku,
odkrył dla swej oślizny nowe drzewa
i dóbr. Nie wiem, co stało się z jego chlo-
pami. W każdym razie i on z tem nie miał

wybrał. Co się zaś tyry pragnień twych
artyści, ci są nie wyjątki ^{nieporozumienia} ^{na to} ~~nieporozumienia~~
- Och Sydney ~~nieporozumienia~~ ^{nieporozumienia} ^{na to} ~~nieporozumienia~~ aby
we wszystkim świecie przysięgę, artysty nie
prowadzą przenie fabryk.

- Oho, Ty prawda, ale fabryki są też tylko
częścią w mechanicznym całego systemu. Jego
podwalina jest tyrania sibi mózgu, która
wśród ludzi cywilizowanych ~~to mój jest~~
diabła podobnie jak siba muskułów pod
młodzieży skrońej; i dżkich. Chłopcy ze szkoły
mnie ^{jestem silniejszy od ciebie} ^{musisz}
^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
nie ty, musisz nie ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
Stosunki te, którym się poddajemy są same
w sobie już dość przykre stać się może nie do
zmierzenia, jeżeli ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
syny ciary, ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
ich przyklejów. Tymczasem nikt ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
nieporozumienia ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
pragnienia do nieograniczonych praw se-
lanców i talentu jak twój artysty. Wielki
malarz nie radości się też że jest ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
popularny i podziwiany, bo ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
się ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
wobec ni ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
jedną tak wie harmonij jakby ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
co ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}
potarciu ni ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać} ^{nie porażać}

1349

Wiemna jest Wicung praco, ani więcej
ani mniej, i sto praco aby dzień prauje
potrzebuje wsta potymczasem jest koniecznie
mu jest na to ^{nie} wymaganie ten i wyborny
czy ~~Wicung~~ ^{Wicung} ~~Wicung~~ jest czy malareu
Ale taki jeden z drugim kulturalny malareu
poeta lub powieściopisarz lub idący jakiś
podobnie zbyteczne zajęcia mający nie czuje
się wsi radzicolonym ię pod względem po
Wzrostu prouarciu więcej staro o chłopa,
choć on jeszcze i pięćdziesiąt lat więcej,
gdyby więcej w pracowni lub w bibliotece miał
więcej godzin niż na włosem polu. jak
gdyby ~~potrzebował~~ do wykonania swej pracy
potrzebował więcej pokarmu o chłopa.
Mówi o wyższości swego rodzaju pracy, jak
gdyby to ~~wyższe~~ ^{wyższe} ~~pracowanie~~ było własną
jego rzeczą - jak gdyby miał prawo więcej
pracy swemu świadczyć niż on jemu
świadczy, jak gdyby chłop nie obchodził się
samiem, bez niego niż on bez chłopca
jak gdyby wartość najskromniejszych malarskich
nie była wątpliwa o prostej sibi
o innej - jak gdyby nie trzeba było również
wiele lat nauki do wykształcenia się i
sta murarza czy kowala jak artysty -
jak gdyby, ~~Artho~~ ^{Artho} ~~można~~ ^{można} ~~zrobić~~ ^{zrobić} taki był
Wicung, jak naprawdę ^{Wicung} ~~Wicung~~ ^{Wicung} ~~Wicung~~ ^{Wicung}
go o ten (o lat) fantazyjny i wielki
kille sztuki zapewniają. ~~Wicung~~ ^{Wicung}

nieodwrocnej wredni
 Kłopotliwego momentu. Muzymy najpierw
 głowy ich od tego wyrwać i a tymczasem
 pilnie pracować nad budową imperium
 dawać przykład robotnikom. Trudnie się
 teraz propagandę ^{tych} ~~jest~~ ^{połowa} ras. ~~Pracujemy~~ ^{Pracujemy} naszej
~~ogólnie~~ ^{tych} rychłoby drogę zagrozić kapita-
 lizm, zorganizowany wieloma celom kraje-
 nia, w rzeczywistości jednak zmiękczy do
 ujarzmienia narodu gdyż istotę narzuca-
 niarstwo rozumiał. Przypuszcza jednakowi, że
 zajmujemy się ~~spisaniem~~ ^{spisaniem} Kmiczem tamachóś
 i spisaniem na głowy honorowane i podras-
 gdy poliya w sposób nierówny ~~braka~~ ^{braka} na
~~to~~ ^{to} ~~brak~~ ^{brak} ~~nie~~ ^{nie} ~~prawy~~ ^{prawy} ~~nie~~ ^{nie} ~~nam~~ ^{nam}
 spokojnie rozwija się dalej bez przeszkód. Czy
 ja sam istotnie spręzę popycham napęd
 nie ~~uważam~~ ^{uważam} ~~o~~ ^o ~~jestem~~ ^{jestem} ~~w~~ ^w ~~moim~~ ^{moim} ~~najlepiej~~ ^{najlepiej}
 tego ~~nie~~ ^{nie} ~~widzieć~~ ^{widzieć}! —

reht

^{zgoła nie wiemy!}
 Drugi, ^(i nie wyeliminowany) przerzucenie ~~stwierdzenia~~
 redakcyjną ^{przebieg} ~~fragmentem~~ ^{fragmentem} historii nagrobka
~~umieszczonego~~ ^{umieszczonego} ~~Trefusa~~ ^{Trefusa} i ustawić go na lewy miechy
 14 i 15 wiek z góry na str. 201 ~~po~~ ^{po} tekście.

Fragment ^{opracowany} ~~brami~~ ^{brami}:

ostęp i wzm

"L.P."

54
9.

jak w wierszu, jak na obrzeczku

awsej
nie
771

Tak rymuję się wierzby
i bezchmurny błękit
z srebrnożółtą i rybią
głuchoniemą rzeką

rzeka niebo tak mrozi
wartko, niestannie,
słońcem żółki tak pachną,
wiatr wysypia się w sianie -

Żółki słońcem pachnące,
sianem świeżo skorozymym,
pędem biegnę ku rzece
drzewom w chciwe ramiona

rzeka błękit unosząc
tak ucieka pośpiesznie
żółki drzewom tak szepczą,
nie odchodźcie nas jeziora ---

g. Stefan Żel

1837

182⁵⁵

Wiosna.

Rozleła się śląską powoobież.
Kwociem rozbłysła na drzewach.
Do życia porwała się - z młobież,
i żyje - w słońcu i śpiewach.

nie
Tł-

W pieśni nabrzmiałej potęgę.
W słońcu nasiałem mojem.
Wre wiosna czerwonoż pływają
i gęciem
strumień sztandary.

Płonnie serce płomieniami,
Grmi w rytmie kroków bijących -
o bruk brukowany ciałami:
Wiosna

w szeregu
iłowca.

Stefan Żel.

w maju 1937.

Godło: „Supitka”

ewentualnie przyjęci,
ale może nie

JME

5/9
26.

Łęczodysznie

O świecie w bezkolor głąboki, wyżej jesionów,

Czesząc ogonami prężne żyta, szybką drogą pszczoł

Łecą konie czarne.

Sypią się śpiewne gwiazdy woda i przez dno,

Mijając strunne topole, zórawiane workocze

Łecą w górne wiolina.

W jeziorach niewieście wtosy,

W piasku czerwone ryby.

Dzikie werbeny, zamorzte klarnety miast.

W lipach kościelne szyby,

Raz w mrok, raz w świat

Mrugają białym wtosieniem

W skrzypce, w dziewczęce głosy.

Sunie chmuryste kilimandzaro, strzela gromową teczą,

Zatapia rzezuchę, drzewa, ptynie len rudy międzami.

A w Łuicku w stawnym misti kapela ikraje.

Motodaja bondariwna w korczomci hulaje.

Z rzek dawno sptynęta krew, podniosła się bujna trawa
Czezna kopyta na drogach, stoi wojsko nieme.

Do kogo tyle ptaków zleciało o czerwonym świcie?

Dla kogo potysk szyn,

Bezdańskie pistolety?

Piłsudski ktadzie farbę na gruszkowe czcionki,

J pisze manifest do robotnika.

Zara udaryw pan starosta mimo jej ucha,

Zara stała robotnicia i nima iktucha.

Oj upata robotnicia btyżko peretazu,

Zabyw, zabyw pan starosta, z rucznyci widrazu.

J znouu, o świcie w bezkolor gęboki, wyżej telefonów,

Czesząc ogonami prężne żyta, szybką drogą pszczoł,

Lecą konie czarne.

Tam i tam wiklinne patyki

W lutne noce z kredą K.M.B., pyta sen drzemoty

Gdzie pojedziemy na zaloty?

J. Nowy

nie TH-

89.⁵⁸

Do profesora orientalistyki

Schylony nad głębiami świętych ksiąg Rig - Wedy,
Nie przecujesz tej słwili, profesorze, kiedy
Nierpodziwanie, strasznie, w biały dzień, w południe,
Szesćset milionów słp zadudni.

Mitrاليةy miatowym adpowiedzą stukiem.
Lapachem kwi, wrzaskami popłynie nad brukiem
w Delhi, Bombaju, Rangun i Masulipatam
Rewolucja pariasów przeciw panom świata.

Tak zacnie się zmierzach Anglii. Ty zaś, profesorze,
Przy teleaparacie głoś - w Londynie może? -
Spokojnie sobie będziesz, jak przystoi snobom,
Obszerować największe widowisko globu.

Godto: Nowy

Stabe WZ

miasteczko podczas odpustu

116

groto: 54

parzywie nataszkie brudno kolorowo
budy stragany nosy niedra czczość i munda
koscielek przy plebanji dziewczka doi krowę
księżyno w rączkach brewjarsz karke wotu obłuda

kielbasa biały chlebuś knajpa karuzela
harmonja skrzypce walezyk polka monopolka
mek ile dris radosci wesela wesela
przepadł ojciec antolki i ptasz antolka

nie ptasz meta antolko odnajdzie sie' tatuś
ty nie wiesz a on cały rok na 7en dzień czekał
pijany nieprzytomnie każdemu jak bratu
opowie dris swój straszny dziwny los człowieka

do odpustu
ewentualnie
co o tem jest
Tajem

Metamorfoza.
(dialog)

- Kleją się ściertki z horyzontem.
W locie ptaków jest coś, co damaga się piesni.
W gwaduo widnokrzegu ukryto się stajice.
Jeden sen

przez wieki

się niesi.

- Na początku było studzenie;
nie chciało się w nocz iwieć księżycowi,
Włikt siebie pole cieniem

Melancholji

nim w ~~to~~ Kolji

Rozy ranej światła nie ukopit.

Genere nikt wodka, nie modlit się ratuce.

Sobies znalernio kartke z kalendara

I pod napisem: Soudaieni

Stowa:

* Lato i dobry batakaję się lubrie

I wiecha w wspomnienie wiec...

- Dais siedrin przy mnie i zmeceany starce
W dawnej się bajce mikerem lubryer.

Smuje

Obrok ze mną kedaiony wspomnienia

I nie wiem, a toby czy ter z wrokiem gwazę.

- Na początku było studzenie...

1

2

mic

PJ-

61

- Starce, dość! Dais z twojej basni
Czas nam niei grać na sukno!
Dais nam trzeba w grzeczności jasnej
Cisnąć echo, zanim zgniećmy
Żelki w stal nie przetyżone ...
Starce, dość! Tam stajce wschodni;
Dais nam stajce wstrzymać trzeba
Zanim urok potoków nieba
Nie ogarnie na zachodzie!

2

Półki prochy zapłone, pod lantem,
Półki w kamieniu
Nie zamienit się granit,
Kamień
Sen sere na życie gorące ...

Leer spojra:
Mleja, nie ściertki z horzontem.
W locie ptaków jest coś, co domaga się pieśni.
W purdros widuskiego ukryto się stajce.
Jeden sen
przez wieki

się nie sni...

Godto: "chaya"

nie pt-

2

6232

Atlantysda

Godło "Mare"

Niecodziennie serca przyciszysz xantku dioniami
(oto obwornienie piątnia : by było pusto).

Toda, skieweruny. Białe ścieżki odnoszą drbany -
Putoj - xrab wieczemu i soxystość ust.

~
Jakie dobre xasypiaś w koranie prawicków,
gdy utokre melodie płyną włosami świata -
Dreco królowa Rea ma przesmutne oczy -
extowietku!

tylę lat, lata, lata...

Kokkon raxy sto chyba już się odmienit,
xuwanie astronomów rośnie w kamienne pstrągi,
a sūy jak taki cutrowe się pienięż:
królowo - stonica - posagom!

Z niedomknięcia oczu są tylko kolumnady
xasuszenie kaptanów, mistyczne gryfy -

powiaśaj:

kiedzi naolejdzie ten przypływ,
tłuc będzie w bramy?

W serce nachyla się, ximy którejs tam smutek,
 a, ołowick nie inny - ten sam.
 Skamieniały zamki w radu tyeruny gotyk, -
 nie czekaj na drzewniem sari

Odechodisz? - prawda, że nie? -
 patrz na palce brzozy, co wstrzymują, reszty -
 (może dlatego wstają, te wyspy samotne,
 skąd do ptaszkich uśmiechów powroty dalekie...)

Nie nadpłynają tu sime scharbanii wozy -
 codziennie skrypi nijaki bagaż -
 Porwóbcie schamnieć, zrudnieć schronieć,
 na głązy spoglądac - głąz.

Czyż się szerzy oddech? - obroz dusi skronie.
 Bóg nos butem prasuje na nie -
 byle tylko to serce wyklusnąć za granice,
 w zgęstwionym niebie jak ryba utonąć.

Niechaj nasuną się xomarte, kotujące puszore
 na kikuty obłych pni
 Chcemy rość - listawiem, konarami, duszą
 Boga podleporzeć - wygonić.

G. "Luk"

Ciepłiwie kamienie.

58

64

nie
→

Ciepłiwie są kamienie podni i chodników,
poukładane twarde pod koba i stopy —
jescz tylko: żaden z nich nie wyda kryku,
nie zbuntuje się przeciw rozsydreniu kopyt.

A pewni przyjdzie sinsto robotników:
wypskną się ulice zdeptanym sumieniem,
na paragrafy w rozsinistym ryku
poleca miświe i wolne kamienie!

— — — — —
Przyjdzie wiosna, wiosna niemych kamieni;
porstaną z martwych i wyjdą na planty —
i ze wstydem się niebo całe zaserrwieni,
gdy wate kamienie będą tuc brylanty!

Ucie tak jak krywa buntu nie roznieca,
lecz driniaj pewne trzeba cierpieć skrycie:
dris' pewne na waznych przygarbionych plecach
berwstydnie galopuje stukopytne życie...

MiejsceChrystus178
65

jak doko gwiazd rozkwitło nad niebem tęg zielonych
wierzbonych kotyścauk w lusterko zapatrzonych
jak doko snów uciekło przybyło lat wieczności
skiniemiew jedynym: stani się - prostym ruceniem kości

II

polami śnieg wzdrował niósł gwiazdy na ramionach
promadził śpiew kolendny wrodzony w srebrnych dzwonach
polami śnieg wzdrował - chryzantem początki...
jak trudno jest zastygnać w kapturce białym tukiem
na wiehrrze granatowym szkapuym w źródle mroku
nie zatrzeć w sobie ciszy nie zachwiać bieli kroków
o pauno nasza cicha mybrania ponad światem
daj serca swego radość najczystszy - jak opłatek

III

odgarnij smutny bracie nysitkiem starych ramion
rozgwiazdy srebrnobrewce co w moście cieniu pławią
rozetnij ręk swych spadłem murawę przyciszoną
i wyrwij z korzeniami rozpacz bolesno - stonę
do pietych otłowi nabierz błyskołek które smucę
wodejście niech zastygną niech nigdy nie porócę
dziś dzień jest weselności - śpiewajcie kolendnicy
hej - pasterze pasterze - Chrystus stał w ulicy

IV

do oczu Twoich dzieciemych mroźcych lilie białe
spłynęły pola miasta świątynie skamieniałe
upartyms dźwięk na wiehrrze rozpięzły sny choinek
pogasty światła trudne zatrzymać czas gozpię
do oczu Twoich dzieciemych przez bruku twarde echo
strzał wstrząsnął kantonadę pool stonica jasną wiechą
pod stonica pióropuszkem huryski biodra niosty
wzbranie zapomniemiew spzokniatę grzechem ktoś
siedmiozgrzydny płomieni na falach quie się światła
wypetra z czerwni wżiem potrodku skwaru lata

V

krew jesiennie nie zakrzepła - czerwona huraganowa
spaliła most nad wodę toczącą ciężką pianę:
z suchotnic łon wydarła zielone ziemio - zwały
kółkę bunt czerwony w serce suterenach chorych

ulicę idzie smutek w niebieskich stopach zmierzchu
przypomnieć nieświe w sercu o mityńskim sens kamieniu 66

o Chryste Panie - przebac - do arki ocalenia
wprowadzi bezradne stado Panie naszego cierpienia

VI

pod ciszą abażurem seledyn w mroku kręgi
samotny na ugorach nieświe pan i księżyc

podgłaska sprawy ludzkie ukryte za rzesz strzechy
pijany wesołością zadławił się wómiczkiem

udzielił pan i księżyc haremny gwiazd kotyśce
na morza nieświej niewypowiedzianej kliszy

i nikt i nic nie wola nie cofa się noc orasów
zatrzymał ktoś gościnę pod ścianą gęstego lasu

VII

Chryste - przypomnij słowa o mityńskim sens kamieniu
spraw - żebyś pierś zatrutą miłości dniem odwrócił

VIII

jak dwoje gwiazd rozkwitło nad niebem łęk zielonych
wierzbowych kotyśce w lustro zapatrzone

jak dwoje snów nieświe przybyło lat nieświekości
skiniem jedynym - staj się - prostym rzuceniem kości

kobiety miosę wino podają pełne dzbany
na łękach kolorowych zapachem róż ustarych

objrzałe szerzścień drewna na grzbiotów łękach przynych
w przypięwie tracky dobro odwigają ponad krzyżyc

żywiec malowany odbiera wartość snów
żywiec malowany nasz wspólny wszystkich dom

firanki w mlecznych młotach i żarówek opadają
zawisty w oczach pełnię się zwikły drogę roztaje

IX

dziewoćyna kwięć musyje przed matką smęć w ukryciu
- niuńka etud jak komar przy lampie brzędy życia

X

człowieku - znam myśl twoją - na twardej trampolinie
ustawiasz stopy zwarte - wysmukłe kolumny linie

ramiona wolno wznosisz bezwładem wahań wazysz
aż pęknie błona wiatru napięta skurczem twarzy

plusk cionności w huk roztania granatem wściekłych pięści
z fontanny łunę krople karabinowym szerzścień

a niebny kosiarz jasny podbierał będzie ktoś
rankiem wróconym w echu kolendę śpiewanej rosy

człowieku - jestem z tobą - nad drogę się spotkamy
gdy będę porażony drugą miłością krzyżowaną.

G. Gild

Złota pieśń.

177. 67

Skąd to? skąd to - zalew złota -
W moją ciemną pada chatę
Jasne, sypkie i bogate
Stojce - nici w kłęby miota,
Co to przedką linią pajęcą
Grają barwną, zlewną tęczą
Imigocą, blaski tęczą,
Plotą, wiązą pieśń urocą -
Złota pieśń!

A
nie = nie
88 -

Coś się snuje, rozsypuje
W rozpalone gwiazd miriady,
W jasnobarbne kwietne sady,
W sady pyszne, a zaciszne,
Gdzie się oko traci, - tonie
I gdzie blaski, sznurzy, wonie
W jeden ton się wiąza złoty,
W sen czarowny, a marzeń sploty -
W wiosny pieśń!

Serce budzi się z martwoży
I wstuchane w akord złoty
Bić przestaje... Ponad kraje
Myśl skrzydlata w dal ulata
I tęczową pierś swą poi
I zagika wśród ukoi,
Śród przestrzeni się zatraca,
Jako stojce się wyxtaca -
snuje pieśń!

Poprzedz srebro złotych
W moją ciemną chatę pada,
U stóp moich skarby składa,
Sklada skarby i klejnoty;
Z serca strąca pieśń o chwale,
Co w przestworza - leci hoźa
Ponad lasy i bezdroża,
W sine głębie, - w modre dale, -
Złota pieśń!

2

9 „GILD”

Ballada o matce.

Na wargi ci stoisz w dłoni cież niecora
i seczyty drzew ptona /
dom otoczą drzewa
jak ryse w zielonych hetmach
i sergkiem ramion brzozy w wydowaniu potuoc
~~myśli~~
i u nóg uśniętym ocean w siodełku fotela
opowień bajkę przez ciebie opowiadaną.

W 969

nie
Pl-2

Cichutko będzie u domu lampki małej malwa
nie przestani niecora; nie wytryśnie dniem
wtedy powiem ci tajemnicę, tkwiącą jak kamień u muralsi
co lata zmieniły w cenny koral:
se młodość jest niekora od sera: Ma niej nie ma sekronu
w pól szerokiech głosach a w sieciach dui
trupoce się jak ptak w szałach.
to będzie twój sen ciększy niż sergicie syna
co s'item nagarwał do seru ciałe garscie stota

Rano obudzonym wstokiem
uczaję się myblakto fotografis uad Tózkien;

Ballada pogańska. N.

Wśródtem do świątyni. Kolorowe na oknach pschere
Przestronity kamienne trane u mistycznym cień.
Tysratem jak bursety ptona w Todkach kadzielnie
jak w lipach spiewem ptaków radował się dzień.
wtedy korawid jasnych dzień
Przesunął cicho przed crotem Staras.

Chłod wiat świątynię, Czerwone wżyłki w Todkach
raz po raz pierś wenerity.
Pachwały siota, a u suficie strono bledily

w spiralach dymy. Świeżej sadzi wizerat krótko
i umilkł jak bezwasa struna.

70

La miękka kotara
Chór kapitałów szemrał dźwięco.

Nagle pierś spłynęła jak wajgorzasty kiel
I mroźnych tręb oszalały pogwar
Popłynął spienioną i gwałtowną strugą.

Głosy się plotły, wracały od mety
Rozdrabniały w płatki, wierzaly w bakiety.
Przewychały jak gromy i rosty, jak bót
To żuńw dźwięcały. Miedzi i strun chór.

Zwętniły się dymy z dadeisłuc.
Płomienie cakniły, jasyły się wstracie
Ariata świątyń u góry.

Powoli gasły kapitańskie, ekstatyczne twarc.

1937r.

Róże na bruku. A.

2 82

Syren ostre powieki gradem leżą w niebo
na topolach kominów rozciągłone dymy.
Idziemy eisi, w piersiach pełnych hukem marnym
nieśmiemy trud kamierny.
Wieżor sieje gniazdy wysokie.
Latawiec tańcuje w katusiach światel.
Ża miastem gwiżdżąc powiązi na stalowych rygnach.
Idziemy eisi, stracone żarem nogi ciężko padają na bruk,
Błęskając strachem, dziewczom gong kszyców
warczy niebo w śmigłach samolotów
Huta pancerna w potokach światel
kierzą żołnierzy na front.
Idziemy nocą. Ramiona zwiroteńce łodygi
na barkach ciężki blaz czarne jak krepy
Płoną sosnom nogi na niduokrągach
Z traskiem konary dębów wróżą śmierć.
Nie boli serca łomot. Dzień za dniem jak liście
krywę, spada z masetu niebo
Środkiem równy potok rytmu.
Na czarnych hełmach tańcy śmieć
wymuskły włódekiewicz na koniu
Kamień stracone stada na dachach
ciężkie rubienie.
Nie boli bezwład ramion nam cięższym od śmierci.
Białe karetki ranionami krywają
Zgasnając róże czerwone z bruku.
Dzwoi północ wpiorna. Płonie niebo
tun ciężkich pożoga jak potworua rana
I dzwoi. To siny w katedrze kościelny
Oślepy od dymów sen zgasnia z powiek.
Traskając żurawie błyskiem pnieiste użąd

Trzesnęły kryje w białych sutannach

~~Cypry~~ wstępnym głodem biały piach....

Cypry' nuda wołają, cypry' osy srebrne

Tknie jak orzechy w kłonach rokitniczych.

Ideśmy po asfalcie pod szarymi parkanami

Droga ścieżka liście ruszają się

Trzaski gromadzi wreszcie dudniąc ciężkie koła

Po wypułkach ulicach. Wyją psy. Wiatr sewni.

Gdzie pola co nam spłynęły do ust

Jak potoki i setka

Co synów jame osy czoła nam na pierwi?

Czarna i szara gromada

syren pobudka zarża nas znów.

Kolyska sosnowa.

10.

Cicho przestoi bliskim napływem

Noe sęby poiste brzdami jak twane

Do ust miszkich brzozy pęk

wrózysze gestem najczulszym.

A kiedy dui się stożek wlepisie

jak owoc dojrały

Najdalszy szum drzew przypomni

Piosenkę wyprawianą sosnowej kolysce

I wtedy huk ~~armat~~^{miotły} rzeźbionych w stali

Luf armatnich nysmukle studnie

Spłosey myśli jak stado białych górsi.

Kolyskę sosnową ukolyszę brzozy.

jeszcze w gąszczach trzepoczą się ciśnie
 jak ptaki łzkiem skrzydłone w piersiach skrzygłych
 już ognisko partuszych gromada
 czerwieni, krew rozlewa się wem wiatru
 w noc.

Purpurowe noce
 twardą z wilgotnego ciała
 biskitne łuski; krew spływa
 po brzegach.

A w brzoach śpiewa noc: uskrzydłonymi dobiegiem
 tańczy w sumie dębów podniebnie żęglugą.

Skiebo okryte i ciemne
 na filarach topol ciężar ukrytych gwiazd
 zamieszka.

W szapach materskawek przyodziaone wrogora
 nogi kłębią w najczonnych taruinach
 w dolinie.

Ostatni pokrętek ptaka stonaj w dolinie
 jak myśl samkuista niekiem trumny
 jak oczy rozrzucone na ścianie świątyni
 we wtóre organów

aż czerwone i opuchte powieki
 ciężko opadną na ścieżce
 jak skrzydła cmy
 opalone blaskiem śniecy.

Rwą ^{peta} ~~hijta~~ karę kowie i w grywach blaski
 niosą do rzeki

Skumia, senwary usta gotowe do kryku
 żywicą zasklepią bōv
 falą płynącą go twarzy
 a w ciszar ród wiosta uderzają
 jak w serce drwomu

(głos:
 "Człowiek")

coś tu jest
 ale, może
 (1.1.1)

BT-

Oto lip szalonych korowców
jak płaciki wtulone w płacht ciemne treny
linyżone głowy wspięnijsze w szranki
a dąb do kolan wsgórz kłoni
seum.

5 45

A w dolin zielonych kolebkach
jak dziecko usmiechnięta spierwieś.

Myśli d.

Piotrowi D.

Zmieszony atykiemem dróg podkowanych
jak kotnik w brzoje drzew gromadnych
kładz myśli proste jak ciemie wieciorne
wstuchany w septy traw, beczadny.

Je myśli gólski całują cyel się trefot
na dachu w stoncu : zapachu lata
— to znów riek szalonych orniis ~~ta~~ krepow.

Wiecior w lata

i gubi gwiazd ogony nad siwą doliną
i wiąże myśli w biegnące meteony.

Cienie w senwarach i łodek pełne ciemipły uż
niosta bryegaję w ogniu pastuskiej koloryt
kwitnoży w rodecie.

Oddech wody ciężki jak suop ebois
po pracy piornawoś w ciepłym plusku.
Wszyskie płonie, złowrózbuż pożar
sosny szesytami niosą i iskrę gasiciami
stopionej miedzi w zagrody,

Kładz się myśli czerwone na ciemni.

Swiercé ojca. R

6

76

Niebo żagiel mióbięki na maszack sosen
rozpina wysoko

Astronowie odchylam fastuch zielonych brzoń
i wargi opuchłe przytulone do białych
kolan.

Sole ścieka jak z piersi wonny i ciepły
jak deszcz.

Wiatr wiony widny w seumie wysokim
i w osy białych wisien Bryzgo
margesem kaczecioń

Wiosna białego sadu

i osu przekwitłych, co w blaskituiszej nosy
ujrzały ożce kryzja ociekającego sakiem.

Plakały drzewy na długość eichej wsi.

O piersi wklęte uderzał słocho
ipo twarzy matki spływały przedrocyste
krople w rzezi smarstek

Za oknem tłum skupionych przyjaciół
niósł ojca uśmiech opracowany
i ostatniq przyjaciół.

W motywie brzoń seumnych zamieszkałem
wery jak sklancie pociorki

Wad tłumem eratue ptaki rotopotały skrzydła
i ich skrypiące wrota otwieraty ramiona

w chłód ementarych garbów

Obwisło niebo jak baldachim

wieszony na ramionach smirzonych
topól

i cienie jak motyle ciemne wylatywały
z klatek liściastych drzew

Do wsi zielony szum liś
wydłużał drogę o stracone
imię.


77

II.

Ballada o kwiatach.

W pierśi mej kwitną kwiaty jarne i miedunane
a pierś grubym pauczym skuta
Czyż jak bujno strzelają pski dobre mi smaug uszkę
siatkę korzeni cienkich jak włos wązki serce
i rosę karmione krwią
i rozsadają przęty rębny dynamieru silię.

Przyjdzie chwila i stalowa zbroja na pierśi
jak łupina pskuie i kwiatów wodotrysk ~~nie~~ ^{szalony}
wybuchnie w gleby tłustej i rodnej
i powiązają się kwiaty w wianuski: wienice
opaszą strzechę syczącym porojem
zakwitną Tuż w schodu w sknie
i nam podane fortanę jak wiersze.

Mój nauczyciel.  na koniec.
Mój nauczyciel mieszka w domu czerwonym
Na okno świat zapuszcza zielone rolety
W ogródku jak łódce pływają bratki.
I razi główki skrawanione.

Przechodzię ersto tedy, gdy miasta pomura fala
Mi dobiega przytępnym do burty wąskiej uliczki
Płonie lampa smichrony uład książek
Głosnik na ścianie jak książka
W cieniu kochana głowa, skronie już białe.

Stoję cichy. Tu pokój gdzie poeja gości
Jak emzeżeni anieli pod strzechę.
Gward wzdronych nade mną poeig
I platynowych migotai niedostępnego echa.

Joczątek wiosny.

Napływa do oczu zachód
drzewa płoną i spokój nieba faluje
eichnie w brzoach

Nie ukryje nikomu zachodu sery
poruszone cieniami rzes
nieścis nad głową w turbanaach mgieł
niegłuję łęki
jak do utny włókone serec w piersi
trępoce się i dródko krwi
bije w skroniach

Wciąż w rze różę z przed okna
varem jak dożgonni towarzysze
szkalicie słone na horyzoncie
w nużce wędrowce wiatra parawanami
rozczepił pierś różę i płatki selererere
jak krople krwi skrzypięj cześć na ziemie

Raukiem nagie biodra ruki
puch trzeim miśko kotyraly
cienie ryb na ślotym piasku
goniły cienie a w gruzach dźborych rumów
po noccy groźnej płakoty lidzie
opadały karty dni i żółki w dłoniach
machylalēs do oczu : wkleśle
egrety niatrów kosmicznych brzygaly
pytem prochu dawno wymianych z mogli

Nocą selest sukni budzi
i przy świetle księżycowej głoni
wierne wydłużały się jak sęty.

g. Destruktywny element

N o c

rozejmie się
TH

12 29

Wiatr - powłóczysty tenor nie umiał arii dośpiewać -
na niebo milczące granatem spadły pocałunki gwiazd -
marzły tęskniąc za szczęściem ponure-bezlistne drzewa,
marzły tęskniąc za słońcem wysmakłe ulice miast.

Śnieg leżał na trotuarach srebrny jak naftalina -
bezwinnie konserwował znużone futra ulic -
domy płakały czernią niepospolicie niewinną -
na lśniącej łące mrok ścinał samotny sierp - somnambulik.

Przy oknie meim usiadła poczciwa, wiotka Euterpe -
wionęła na szyby szare i na mnie ciepłym oddechem
i zdało się, że jasność fontanną smutek rezerwie,
że gorycz się rozplynie w złotopachnym śmiechu.

Lecz szyby uparcie płonęły południowymi palmami
a muza zgasła cichutko szarą żalnością złamana -
zasypiał wiatr - przemęczony modlitwą siwy brahmanin
i tylko na drzewie zawisł żółtawy księżyc jak banan.

godzko: "destruktywny element"

Fredy Jura
Włodarczyk -
i wredniaki melotron

Godło: 9972

1/1/1
73

I śnisz purpurą wieków...

Motto: Lwowie: my ciebie kornie pozdza-
wiamy...
/ Roxolania/

Miasto podemną śpi. Drży obrzask świtu,
Srebrna kurzawa mgieł zaczyna złociec.
Czy miasto z ziemi rośnie, czy z błękitu?
Stoi, czy płynie w Polskę? — Trudno dociec.

Jeszcze nie zleciał z wież Ś-go Jura
Srebrzysty gołąb dzwonu na prymarię; -
Można oczami pić rosę na murach,
Można uszami chłonać świtu arie.

Pianą wiosennych bzów, kwitnących znowu,
Kocham cię, Lwowie. Tyś mówił mi o tem,
Że można pragnąć gwiazdnego połowu,
Duszę bogacić słońca ~~sy~~ppkim złotem.

2

Na Lyczakowskim cmentarzu gdym marzył,
Twarz smutną skrywszy do rąk drżących obu,
Tom widział wieczność, co się dzieciom darzy,
Wieczność, sadzoną grządkami ich grobów!

Wszędzie w Ojczyźnie zalega Ojczyzna,
Lecz tu z dziecięcych dusz stoi opłatkami...
I żaden anioł dziejów się nie wyzna:-
W Sparcie, czy tutaj były większe matki?!

3

O, Matki Lwiego Grodu! - Serca rubin
Podniesie Polska przed tron Przedwiecznego,
Bo tu się człowiek łańcuchowy gubił
I wrastał w Wolność, aż wyrastał w niebo!

Gdzie są na świecie takie dzieci drugie,
I gdzie są takie na świecie mogiły,
Co by szeptały w noc, płaczem długie,
Że nie umarłe już są, bo ożyły?!

4

A dzisiaj?- Miasto ciche! - ciagniesz soki
 Z ziemi, co tobie życiem się odśmiecha.
 Na niebie kwitną srebrzyste obłoki,
 Na ziemi kwitnie obłokiem czerecha.

I śniesz purpurą wieków , snem Boimów,
 Oddane szarych zdarzeń poniwierce...
 O, marzycieli miasto i olbrzymów!-
 Masz nieśmiertelność, bo masz lwowskie serce!

To serce śpiewne, jak mury Długosza,
 Przez które kipi zieleń wiosną żyzną,-
 Palona słońcem szmaragdowa brosza,
 Którą przypięła do piersi Ojczyzna.

Lwowie!- gdy już mi słowa nie wystarcza,
 Żeby ci miłość moją w zieleń wdrzewić,
 Wtedy... całuję twoje lwy na tarczach
 I łzy połykam... A dlaczego ? - nie wiem...

29 Maja 1937r.

K o n i e c .

CORRESPONDENCE FINE

G. Werdykt Omylony.

P o g r z e b .

1

163⁸²

nie
tak

Kroki tłuką bruk, ciężkie i powolne kroki,
kroki szybkie i ciche - jak kocie podskoki,
kroki twarde i miękkie, bliskie i dalekie,
kroki, które się ciągną z oddali przez wieki.
Buty - żołnierskie twarde nabite gwoździemi,
buty podarte, buty pełne dziur jak many
otwarte - dziury - palce - ich uśmiech złowrogi,
uśmiech palców, co kończą zawsze czyjeś nogi.
Nogi - kroki - tak^tbiją nogi muskularne,
nogi cienkie - krzywica - wszystkie w marszu karnym,
opuchłe grube nogi, w reumatycznych bólach,
- na plac, przed magistraty - w cienkie ścieki ulic
przez bruki asfaltowe i wyrwy brukowca.
Nogi, buty, marsz, kroki, masa w pędzie owczym.
Tłum rośnie, potężnieje rozpiera kamienie
żelbety, mury, cegły - koryta strumieni,
tętnią buty i nogi, kroki tłumią kroki
w łoskot stały ponury - jak parowe ^{tł}oki.
Twarze martwe i żywe - zmrożone powagą,
ciche, dzikie, ponure - bojaźnią, odwagą,
groźne twarze milczące - zaciśnięte wargi -
z czasem, przestrzenią, śmiercią - to milczące targi.
Oczy siwe i piwne, czarne i zielone
niebieskie albo bure w masie tłumy toną
i giną pojedynczo ale są i żyją

. / .

i trwają, myślą miłością - oczy w życiu czyjem.
Wiosna zielona - łąki, zielone są pola,
zielone życie w świecie i wieś Pańska Wola ,
zielone drogi kurzem zielonym pokryte,
lasy zielone, chmury i żołądki syte,
zielone jak hutnicze piece płonie słońce,
zielony świat jest cały, wszystkie jego końce;
i pokrzywa zielona, trawa - zielsko rośnie.
W tłumie sosen zielonych dobrze rosnąć sośnie,
Trumny sosnowe - czarno malowane domy.
Świat was zobaczył dzisiaj, świat wam nieznajomy.
Trumny czarne sosnowe, tłum prowadzcie , ludzi
na cmentarz i za cmentarz; trudne życie trudzić.
Przewodźcie jak sztandary - z nienawiści rodem
miłość głoście płomienną - ludzkiej walki ody,
hymny. Wy czarne trumny - w zbrataniu jedynym
nogi, buty i twarze , i ręce , i czyny .
Niech słowa niemilknące, jak salwy wystrzałów
- twarde brukowce, słowa, co nie wytrzymały
w masie bruku -niech lecą, niech uderzą w trumny,
niech przemówią i wstrząsną , jak sumieniem - tłumem.
Lub może niech milczeniem, milczeniem rozbrzmieją
- czynem, walką i walką - jedyną nadzieją . -

Elizjum.

W mieście dziwnym zwanym Elizjum
 Wszystko jest inne, wszystko jest wizją.
 Tam nawet cisza jest pełna drzeń,
 Popatrz, cieniowi kłania się cień.
 Słońcem, gwiazdami w oknach lśnią szyby
 Okien nie widać w domach na niby.
 Tak je kunsztownie wznieść tylko mógł
 Żaden architekt lub Każdy Bóg
 Twarzy się twarze pytają blade
 Żaden czy Każdy, Każdy czy Żaden.
 Ktoś w tantym oknie krzyknął i znikł
 Szepnął mistycznie Nikomu Nikt.
 Bo Nikt się włóczy z domu do domu
 Poczł wiadomo tylko Nikomu.
 Żadnemu niesie uśmiech i kzę
 A Każdy woła Nie Chcę i Chcę"
 A gdy zły Nie Chcę zmienik kzę w różę
 To Chcę najlepszy uśmiech bżem urzekł.
 I kzy im pachną i pachnie bez
 Czy bzu jest więcej, czy więcej kżez?
 Nikt pośród kwiatów wędruje z Nikim
 Tak im prześlicznie nuca słowiki
 I tak jest dobrze nie być, a śnić
 Jeśli chcą czegoś to chyba nie
 I co krok inne znajdują szczęście
 Ale swe szczęście tracą najczęściej.
 Mocno, najmocniej zaciśnij pięść
 Byś więcej własnych nie tracił szczęść.
 Z zamkniętą dłońią idę przez miasto
 Z myślą o tobie - z Boluksem Kastor
 I czy Znów nigdzie, czy wszędzie Znów
 Znów mi nie wydrze radosnych snów.
 Bo od imienia twego, Elizo nazwane miasto z grecka E
 Nazwano miasto z grecka Elizjum.

z 115
 84
 gadło: "Wczoraj"

nie - być de
 JH -

gadło: "Wczoraj"

1 p 5
 1 1 3
 1 p 3
 1 1 4
 1 5 2

g.: W. Z. 13."

42.
85

R I M B A U D .

Statek w wiązaniach trzeszczy -
morka wskoczyła w żagle --
nie nie pomoże wrzeszczeć:
pragnę!!!

Sobnie polne

84-

Niebo jest znagła ukośne,
sine i czarne i krwawe -
„W morze rękami wrosłem,
włosami płynę wśród mgławic --”

Życie: fal tysiąc o grzbietach pienistych,
wschód: kraj daleki, tajemny, bez lęku -
pioruny łbami o skały rozprysły
i pękły!

Pokład wyskoczył ku niebu,
deskami skutemi żelazem -
świat się na osi kolebie:
pijany obrazek!

Pochlust zielonej wody --
- słony jest haust tej fali!-
Ocean stał się ogrodem,
w którym szmaragdy się pala.

Okręt szoruje po wodzie:
tęsknotą krzycząca kometa!
- a morze wywiesza codzien
zielony sztandar Mahometa.

„Serce jest we mnie chore,
wiecznością je ciekłą pokropię,
jestem pragnącym upiorem,
spróchniałej Europy!

Miotany grzmotem fal pezepastnych,
pędzący w chmury - w mokry dym,
na maszcie zatknę serce własne -
gorzkiego morza syn!”

Morze, tętniące życiem, pięściami walące o brzeg,
to świat buchający potęgą - szukanie płynące naopak
przez duszę poety, co zbiegł
i upadł twarzą natchnioną w wód pulsujący sarkofag.

” ” ” ”

76 86

proszę mić - podziękować
TAK -

G o d ł o: "Perypatetyk".

E d g a r A l l a n P o e.

Krew pulsowała w skroniach i tętno waliło mocniej.
Oddech zamierał w piersiach i ciarki lały po grzbiecie,
Kiedy przy świetle świeczki w bezmiernej czerni nocnej
Niczego prócz Twojej książki i mnie nie było na świecie.
,
Światło pełzało po stronach oscylującym ruchem
,
Świecąc mi z czarnych literek przedziwnie utkaną historię...
I pewien byłem, że zaraz - za pierwszym wiatru podmuchem
Czerń się przede mną rozwieje w jaskrawą fantasmagorię,

Ze pięciogroszowa świeczka w sklepiku na kredyt wzięta
Pochodnią mi będzie w wyprawie w paryski zaułek rue Morgue,
Albo, że będzie w jej świetle - mnie i mych druhów z okrętu
Upajać piwskim siarczystym, Jego Dostojność Król Mor...

Lecz świeczka gasła powoli i nikły półsenne widziadła.
Siedziałem cicho nad książką z opartem na rękach czołem.
Na ciemnych już teraz stronach tylko mi twarz Twoja bladeła
Najprzenikliwszy z Poetów - Edgarze Allanie Poe!

Godło : "Kleska".

muszę przeczytać na jej cześć
Tł-
List jesienny .

157
187

... i dokąd iść mi, aby nie powrócić.
Gdzie ciebie zgubić. Jak bez ciebie zginąć.
Komu żal zwierzyć. Komu ból wysmucić.
Krystyno .

2

Scieżki mi ukaż, gościńce lub jezdnie
tchnieniem warg twoich jeszcze nie zakłęte.
Pokaż mi noce huczące bezgwiezdnie
gdzie mógłbym rozpacz prześpiewać na smutek.

Wskaż mi wskazówki pędzące jak śmigła
nie uwikłane śmiertelną godziną.
I krew mi utocz jeszcze nie zastygłą.
Krystyno.

Ból się rozpłakał w pokoju na piętrze.
I rozpacz wali w umęczone piersi.
Dudnią przeciągle pociągi udręczeń.
I wszystkie drogi prowadzą ku śmierci.

Drżą wielkie słowa w zaciśniętych ustach.
Szłocha za oknem wiatr w blaszanej rynnie.
A z kątów patrzą przerażone lustra,
szepcząc twe święte i przekłęte imię.

A tu jak na złość jesień pachnie miodem
i w chłodnym słońcu najdostojniej kona.
Dziewczęta noszą jej śmierć i pogodę -
Jak paść jesiennie, z uśmiechem, jak ona ?!

Jak myśl rozszarpać powrotną i trwożną.
Jak się zatracić. Jak b e z ciebie zginąć
dziewczyno, której już nigdy nie doznam.

Krystyno ! ...

Dzieje pogoni.

Kiedy ciało było jeszcze nieznaną plazmą
a myśl mieszkała w odległych wirowiskach
- na skraju cienia ty byłeś.

Jak to było - przypomnij -
spód mgły, spód nocy nagłej
na tamtą stronę dnia przepłyni.
Słuchaj: to zgrzyt - to czas
rozdzieram dawno skrzerły.

Wieczorem badasz sprawę dnia
uwikłanego w młodość:
wtedy spojrzania gasną wśród obłoków
jak sny bez treści -
trudno budować spokój barw grających zmierzchem.

Rozbita klisza pamięci. Twarze minione - we mgle.
Mierzono świat oktawą końskich kopyt
- szedł dźwięk tych trąb na wschód, na zachód, na północ.
Na polach jeszcze niezwiezione snopy
obrosły, rdzawe i brunatne, w błękit.

Wtedy wschodzi nienokój z niedonitych snów,
drgający jak pajęczyna rozpięta na wietrze.
O cichy łopot sów rozkołysana ciemność*
- a ty i burz i skrzydeł nie goń!
Słowem uwiecznym w samotności wołam tchu
ponrzech niebieskie oczy młodych bogów.

Spocśród stert napisanych banałów - przytomnie
weź prawdę, ogarnij, przyjm w siebie:
ziemia spód nóg ucieka kolorową arką -
te plamy anarchicznie rozrzucone na tło
dnia krwawiącego jak szczeka boksera -
to jeźdźcy świętego Jana.
Niechaj nas miną. Mam moc i rozkazę
płynąć jej pewnie w zagubione światło,
gdzie wolne narody jak szczęśliwy człowiek
nie mają wcale koszuli.

Wyglądź szarzynę słów postrzępionych bagnetem
w myśl prostą i unieś z nad zmęczonych powiek:
zagasła pamięć nad wodami
w porach roku czytanych nawspak.

Z zastygłej krwi w obrzeżu chlamid,
ze słońc umarłych wśród miedzianych tarcz
zrodzisz się - Feniks - noniołowy ptak.
Lot w ciemnych snach strudzonych świętych
przerwiesz w łożysku nienazwanych ruin.

O prężną czułość rąk
porwane sieci pajęczne.
Gwiazdy w godzinie stad
podobne latarniom.

Przez chybot lasów, wśród drzeń gór
idący z lat nas wiatr poniesie,
kołyszając w słodki rytm prostego słowa "razem".

*Coś tu jest
do czegoś, do czegoś
niezwykłego
TJ*

Mój ojciec i ja - tesame czarne brwi,
tensam mamy głos i jednake oczy i jednaki chód,
jego uśmiech jest moim uśmiechem i gdy ze mnie drwi,
gdy patrzy na mnie mojemi oczami - czuję nagły chłód
czuję nagłą złość i gniew wzbiera mi żyłą na czole
i pięść tak krwią nabrzmiwa że chciałbym - od lewa
trzasnąć w twarz - która jest moją twarzą. Więc na stole
opieram pięści i patrzę i czekam. Ojciec śpiewa
spokojnie - i znowu: - słucham, słucham - no, mów.

Ja:
Ale nie przerywaj. Nie przerywaj, nie rozdrażniaj mnie znów.
Ja - - Tak. Jestem inny niż ty. Mam w oczach odpryski
dziwnego lustra, które kiedyś zły duch rozbił, rozrzucił po świecie -
mam w oczach tego szkła odpryski - mają wszyscy poeci -
i stąd światło silniejsze, stąd te błyski
mocniejsze które nam z oczu padają. I dlatego patrzenie
takie jest bolesne, taki ból sprawia każde spojrzenie.

Gdy ty śpisz - ja czuwam. Noc przezemnie przepływa.
We śnie się domy - czarne okręty-kołyszą.
Aż - przedświt. Noc rynsztokami niebieska odpływa.
Bulgotanie białych pęcherzyków dnia. Słyszę.
Bo przedświt jest ciemną wodą, ciemną i szeroką
a na niej - pęcherzyki białe bul-bul-gocą. Widzisz? Zmruż oko.
Ale jeszcze - nie dzień. Dopiero nocni stróże pochylając głowy
- a są ogromni, słomiani, olbrzymiołape ~~skakane~~ chochoły -
na mokrych chodnikach świt rozpalają, ustawieni w koło.
Świt się rozpala, gaśnie i wreszcie czadem zadymi różowym.

Ojciec:
Jak? Nocni stróże - mówisz - rozpalają świt?

Ja:
A tak. Nie przerywaj tato - cicho - cyt -
I tak się staje od tego czadu różowo i ciężko jakby róże
pachniały chore. I świt przenika jak dym do mieszkań, do łóżek
gdzie śpią nadzy ludzie skurczeni, zwinięci w kłębek,
i przerażeni - skurczeni jak w łonie matki - ssą własny pepek
i sen smakują splątany, sen w którym ciało spada - spada -
aż nie rozewrze oczu świt - ostra różowa szpada.

Ojciec:
No i robi się dzień. Śpisz do godziny pierwszej.
A wynik taki: kociokwik i znowu jakiś wierszyk.
Potem łazisz po mieście i szukasz posady.

Ja:
Dzień jest mgłą białą i gęstą, a domy
jak w próżni w niej wiszą i lekko się chwieją.
Jezdnią, podniósłszy ogony, brązowym gnojem sieją
konie - bokiem skaczące plamy brązowe -

752
89
mie. He
Df -

Żółte samochody - jak psy - tramwaj opałowy bawologłowy,
szczekają i do szyi skaczą czerwonej.

Latarnie - oczy na czarnych łożogach - odwracają się w inną stronę.

W tej mgie białej i gęstej tysiąc ust krzyczy i gada -
kobiety na okrągłych biodrach jak na kołach jadą.

Mężczyźni stoją - przed rozwieszoną gazetą - rzędem
i nos przyciskają do szyby i - czytając cudowną legendę
o na skromnych warunkach zaofiarowanej posadzie -
wyglądają ewentualnie jak rząd na krzyżu rozpiętych
okrągłogłowych świętych. 90

Wieczór spada poziomo - rozpostarta zielona chusta.

I gęstą mgłę zieloną mężczyźni chłoną przez oczy i usta.

Pokolei od gazety odchodzą - wiatr zielonem zimnem bucha -

każdy z nich nozdrzem w rynsztok szybko dmucha

i do domu, gdzie też zimno, chwiejnym krokiem kroczy,

podnosi kołnierz palta, otwiera zamyka jak lalka oczy.

Każdy z nich palto na guziki zapina

i roztargnionymi palcami własną ujmuje głowę i przegina

i do butonierki wpycha jak guzik -

idą idą pokurczeni przekrzywieni ludzie.

A potem fontanny na wszystkich ulicach

tak długo tryskają nocą niebieską, aż kamienice

jak czarne okręty płyną po tej niebieskości

w sen groźny gdzie ciała - spadają - w przepaść z wysokości - -

Odrzekł mój ojciec: - nie rozumiem. Nie widzę. - -

Nasze pięści gorące od krwi -

dolna szczeka do przodu uderzyła jak cyngiel.

Wdół ściągawszy tesame czarne brwi

obu nam w gniewie oczy błyszczą buro

patrzmy spodełba, bokiem - taksamo ponuro.

Godło: "CHARYBDA"

Godło: Białowieża

Liliowy

Wybiegnę: brązowy bożek do boru
Półdziki, pogańsko uroczy -
I bór zaczaruję salwą kolorów
liliowo skrzących się oczu.

I poprzez gęstwinę wiotko przepłynę
liliowem błędzeniem motyla -
Aż dojrzę i porwę leśną dziewczynę.
/Na imię będzie jej Lilla/.

A gdy ją posiędę smukłą i bosą,
porzucę gdzieś w leśnej ustroni -
A zachód liliową skropi się rosą
i bór liliowo zapłonie - -

Ścigany pożarem padnę samotnie
i serce mi pęknie jak kielich -
A Lilla liliowość swą tak ustokrotni,
że lilią w niebo wystrzeli !

136 q1
(2)
miejsce -

Wzrosty nie —
M.

Poemat lasu.

(kłusownicy)

G. Alter

133

?

szumiał las...

dęby wypięły piersi guzate
z wieku spękane i mchem włochate
ossika sssię
trzęssła strach
cccła we łzach
śśśnił się jej- Krzyż!!!-

5

(Buk krzyknął wtedy jak w "Dziadach": a kysz... a kysz")
Brzoza (nie wiadomo, skąd się tu wzięła)
plakać zaczęła

10

(pewnie ze wstydu-
bo wśród buków idębów nawały
stała sama, naga a ramiona białe
wstydliwie skrzyżowała i opuściła włosy
spłowiałe...)

15

Dzięcioł właśnie wykuwał napamięć doktorat
o znajomości lasu drzew, pni i robaków

Zając uczył się wtedy trwożnych Morse'a znaków
i tupał wciąż zawzięcie jak telegrafista

20

Wiewiórka, jako zawsze do zabawy skora
skakała po smerekach jak kula ognista,

alis, co we wsi mędrkował dziś wiele
marzył o pójściu na kacze wesele.-

.....

Dwa cienie mknęły cichutko wśród drzew.-
(czasem tylko trzasła pod stopą gałązka
lub zaszeleścił suchy, zaczepiony krzew)

25

szli kłusownicy, a z nimi cichy szept:
--"no?"--"nic"--"jak?"--"ccco?"--"cccicho!"

Prześlizły się cienie pod krzakiem leszczyny-
popatrzył Zając: łachmany, "kuczny", strzelby,
dzikie krwiożercze i wężące miny-
wiec skokiem łupnął jedną zgłoskę: "strach"
nastrożył słuchy, wybałuszył trzeszcze,
zniknął, kicając w ukochanych krzach-

30

rzuciła szyszką wiewióreczka i zagniewana
człapała po młodym i śmigłym smereczku-

35

przez zrąb, wśród pni

szli kłusownicy, a z nimi cichy szept:
--"jest"--"ccco?"--"on"--"kto?"--"cap!"--"bij!!!"

40

odciągnięte kurki przytaknęły: klap-
dwa cienie przyklekły, coś sobie szeptały
coś tak strasznego, że sroki omdlały
a sojki wrzasły i trzasły w gęstwinę
a dzięcioł furknął daleko w dębinę-

45

dziwny niepokój poczuł nagle cap-
majestatycznym ruchem uniósł nagle głowę-
popatrzył wkoło --"nic"--"klap!"

50

beknął potężnie w ciemnosiny las,
rozkraczył cewki, patrzył jeszcze chwilę
i dalej trawę z mądrą miną pasł.

...szelest!--ruch!--Cap w słuch--nic-

93

55 właśnie za uchem ugryzła go pchła
 więc zadnia cewką poważnie się skrobał
 potem stanął, patrzył,
 polizał z kurtuazją boki sarny oba
 w końcu rogiem ją trącił daleko na stronę
 (na znak, że pieszczoły na dzisiaj skończone)
 znów ugryzła go pchła, więc polizał boki
 dał dwa skoki
 przestraszył się jakichś-pewnie pniaków-cieni,
 usłyszał:szszsz"-
 ryknął i pał się w soczystej zieleni-

65 Wtem!!! huk!dym! wrzask! kwik! ryk!
 bherrrrrrrrr!!!bherrrrrrrrr!!! buch!!!buch!!buch!
 trzask!--"w lassss"----bierz!!!!"

 dwa cienie pomknęły z ciężarem w gęstwinie
 (pasemko posoki zostało jedynie.....i cisza.....)

szli kłusownicy, a z nimi cichy szept:
 -Widział kto?"-----"Nie!"-----"chować?"-----"gdzie?"-----"tu!"

70 "słyszyszsz!!!!"
 "occo?"-

przez bór, przez debry, przez jary, doliny
 przez góry, jary, wąwozy, gęstwiny
 niósł hen drzewa (rzekomi oszczercy)

75 echowyy jęk:
 --"po stokroć ochydni, nieznośni, zuchwali
 mordercy!!! mordercy!!! mordercy!!!"
 --"to echo!"
 --"nid!"
 80 --"chodź w las!"

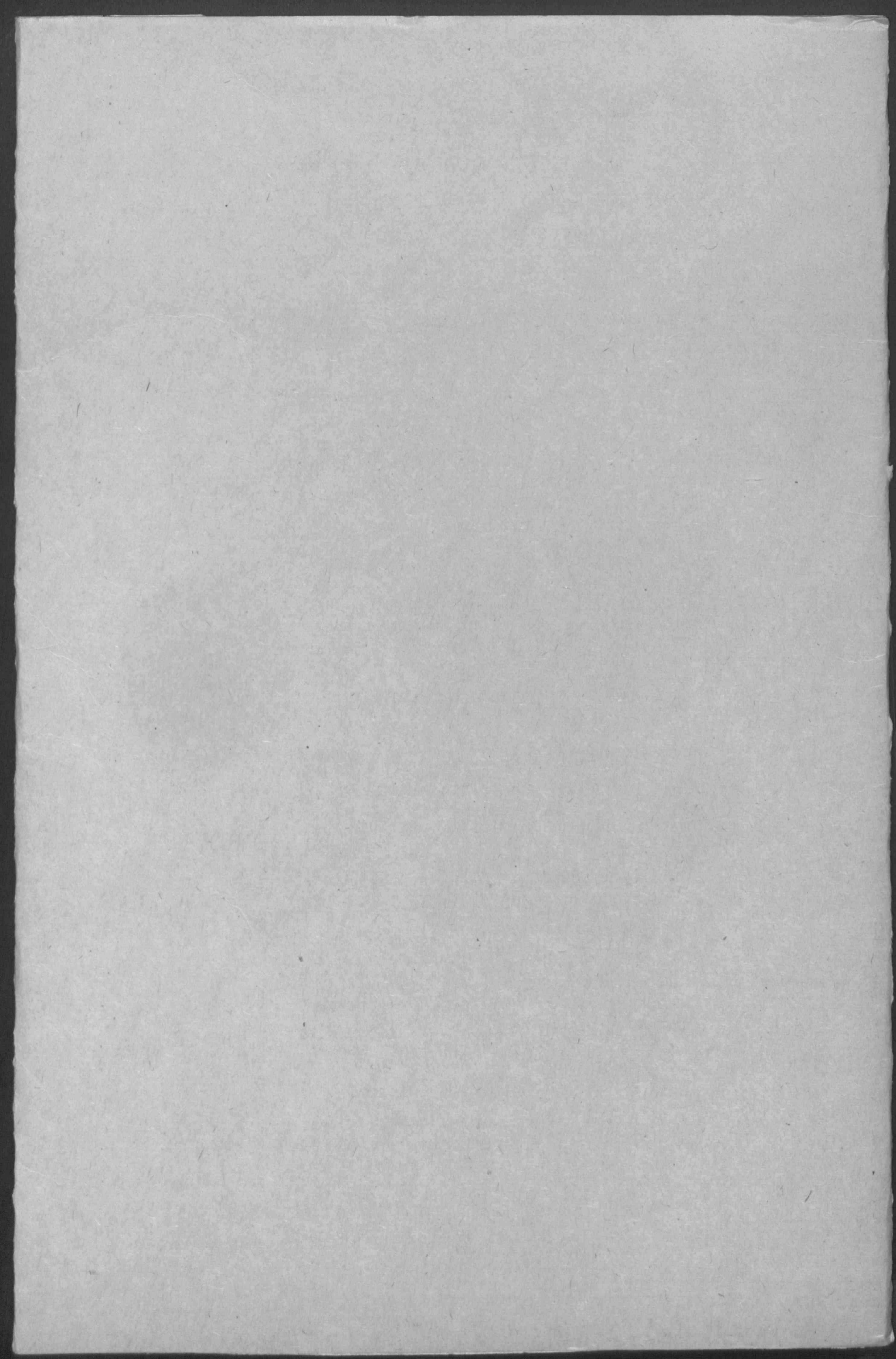
Szeleszcząc snuła marzenia osika
 grab się dostojnie na wietrze kołysał,
 -słychać cykanie leśnego konika
 w barwnych natury teatru-kulisach

85 Dziecioł kuł dalej "drzewiasty" doktorat,
 Wiewiórka szyszką rzucała do celu,
 Zając wytupał "wieczerzać już pora"
 a Lis na kaczem zatańczył weselu
 i tylko lasy

90 na straszną przestrogę potomnej zwierzyny
 i na wiecznego człeka -przeniewiercy
 szumiąły smutnie
 wciąż ciszej i ciszej:

94 ----"mordercy!!!!" mordercy!!!! mordercy!!!!"

napisał: "ALTER"



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.

Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.

All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.